

NR 49

styczeń - marzec

2005

# aleje 3

KWARTALNIK  
KULTURALNY  
CZĘSTOCHOWY

ISSN 1427-8812 CENA 2 zł





## aleje 3

### Kwartalnik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

#### Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dra Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360 56 28  
www.biblioteka.czest.pl

#### Redakcja

Aleja NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360 56 28  
e-mail: aleje3@poczta.onet.pl

Teksty niezamówione nie będą  
zwracane. Zastrzegamy sobie  
możliwość opracowania i skracania  
przysłanych materiałów.

#### Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505 666 486  
e-mail: mprawinis@poczta.onet.pl

#### Oprac. graf. numeru

Marian Panek

#### Skład i łamanie

Krzysztof Król

#### Druk

Drukarnia "TEXMET"

Publikacja współfinansowana  
przez Samorząd Woj. Śląskiego

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają  
poglądy Redakcji.

Tempus fugit – mawiali podobno starożytni, co miało oznaczać, że czas ucieka, a wszystko podlega zapomnieniu i zmianie. Jednocześnie trudzili się próbami zachowania swojej teraźniejszości, w rozmaity sposób utrwalając wydarzenia, których byli świadkami albo o których tylko słyszeli.

Borykali się z już wówczas niemożliwością ogarnięcia wszystkiego, co chcieli przekazać następnym pokoleniom, a w epoce piramid i łuków tryumfalnych problem nie polegał na braku odpowiednio trwałych materiałów. Już wtedy zauważono, że – o ile nie zostanie zapisana - tylko niewielka część przeszłości ma szansę na przetrwanie i większość pokryje kurz historii i milczenia.

Dziś kronikarze mają trudniejsze zadanie, gdyż nie nadążają nie tylko z zapisywaniem obserwowanych przez siebie wydarzeń, ale nie nadążają już z tych wydarzeń selekcją, i to mimo rozmaitych wynalazków technicznych. Co zapisywać, gdy wydarzenia biegą z prędkością migającego obrazu w telewizorze i nawet wielkie tragedie, dotyczące milionów ludzi, stają się pożywką zainteresowania i rozmów najwyższej przez kilkanaście dni.

Choć wiemy, że najlepszym sposobem utrwalenia przeszłości jest jej zapisanie, niewiele posunęliśmy się dziś naprzód. Niegdyś znało się dzieje rodziny od wielu pokoleń, dziś nasza pamięć rzadko sięga dalej niż dwa pokolenia wstecz. I to mimo rozmaitych zdobyczy technicznych, z których coraz powszechniej korzystamy od kilkudziesięciu lat.

“Pomnik trwalszy stworzyłem, niżli w spiżu ryty” – powiedział Horacy, a miał na myśli właśnie słowo. “Imię wryte (w kamieniu) słońce spali, deszcze wypłuczą, wiatr wysuszy” – pouczał w XII wieku Wace. “Chyba, że skryba je uwieczni - dodawał zaraz - że piórem w księdze je utrwali, unieśmiertelni i ocali”. Zasadniczą sprawą jest bowiem nie materiał, z którego budujemy sobie pomniki i na których wydrapujemy swoje “tu byłem”, tylko sama chęć i zrozumienie potrzeby zapisania.

Wchodzimy w nowy rok - jubileuszu 350-lecia obrony Jasnej Góry. Mniejsza o to, kto bronił, przed kim i z jakich powodów, bo dzisiejsza poprawność polityczna każe nam zupełnie inaczej patrzeć na to wszystko, co się zdarzyło przed wiekami. Dawne wydarzenia są natomiast okazją do promocji Częstochowy na terenie Europy i świata, i w tym kierunku iść mają wysiłki naszych władz miejskich. Każda okazja do promocji jest dobra i dobra jest do tego każda rocznica, choć bywają rocznice bardziej i mniej rozpoznawalne. Przed 350 laty walczyliśmy ze Szwedami, to jest z Polakami w służbie szwedzkiej. Później przeżywaliśmy kolejne oblężenia - trzeba było bronić Jasnej Góry przed innymi Szwedami, Austriakami, Prusakami, Rosjanami. Mało o tym wiemy, bo choć te historie miały swoich Kordeckich, nie miały swoich Sienkiewiczów.

Mniejsza o dawne wojny. Za sto i dwieście lat także będziemy świętować rozmaite jubileusze. Warto zapisywać nasze współczesne dokonania. Może będą wśród nich takie, w których następne pokolenia odnajdą ślady naszego wysiłku w budowaniu pokoju i wspólnej europejskiej tożsamości.

*Tomasz Zastępowy*

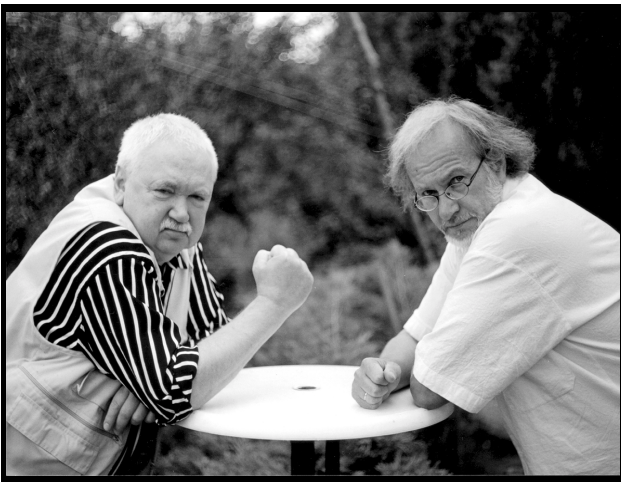






## SZTUKĄ GRAŁ Z ŻYCIEM

Z Romanem Lontym,  
przyjacielem Jerzego Dudy Gracza,  
rozmawia Janusz Mielczarek



- *Romku* – zwracam się do Romana Lontego, architekta wnętrz, twórcy i właściciela galerii, której częścią jest również od ponad 10 lat galeria autorska Jerzego Dudy Gracza – nie często zdarza się, że koledzy z tej samej klasy trzymają się razem przez dorosłe życie, więcej – robią wspólnie coś ważnego.

**Roman Lonty:** Jurek był osobowością niezwykłą od pierwszej klasy liceum. On zarażał nas wszystkich swoimi pomysłami, nadawał naszej klasie ducha i siał ferment twórczy. Był mizerotą z przedmiotów ścisłych, ale dzięki mądrym nauczycielom, którzy dostrzegli w nim nieprzeciętną indywidualność, mógł egzystować, skupić się na humanistyce, rysowaniu i malowaniu, bo to był jego świat. Był świetnym obserwatorem nawet najdrobniejszych zdarzeń, co udzielało się nam wszystkim. Stąd jego pomysły satyryczne, pisanie piosenek, stworzenie szkolnego kabaretu i teatryku.

*Miałem okazję oglądać taki program kabaretowy w ówczesnym klubie "Studnia", prezentował on zaskakująco dobry poziom, dorównujący kabaretom studenckim lat 60.*

Miał wręcz obłędne przywiązanie do ołówka i kawałka papieru, wiecznie coś kreślił, rysował, a zawsze z zapamiętaniem i pełną energią. Kiedyś spędzaliśmy

wspólnie wakacje w Gdańsku, myślałem, że się wyluzuje i zostawi rysowanie, ale on był tak samo przywiązany do kartki i ołówka. Oddziaływał na mnie pokładami energii, które z niego emanowały.

*Jerzy Duda w wielu publikacjach podkreślał niezwykłość częstochowskiego Liceum Plastycznego w czasach waszej wspólnej nauki. Wymieniał publicznie nazwiska wspaniałych nauczycieli: Marii Wierzbickiej, Józefa Wójcickiego, Edwarda Mesjasza, Tadeusza Galara, Kazimierza Kaczorowskiego, Krzysztofa Wielguta. Czy nie ma w tym nieco mitologii, chęci podniesienia rangi prowincji, z której się wywodzimy?*

Okres szkoły średniej jest na pewno ważny w życiu młodego człowieka. Buduje się wówczas hierarchię wartości, kształtuje światopogląd; szczególnie intensywnie smakuje się świat wokół. Nauczyciele, których wymienia, i ci wyrozumieli dla niego od przedmiotów ścisłych, na pewno istotnie zaważyli na jego stosunku do życia. Właśnie szkoła w tych czasach ograniczeń i zakazów - dla Jurka szczególnie bolesnych, bowiem ludowa władza więziła jego ojca i brata – dzięki tym nauczycielom była dla nas wszystkim: miejscem nauki, domem, pracownią – po prostu szczęśliwym azylem.

*Jesteś człowiekiem obdarzonym cennym zmysłem krytycznym. Pomagałeś wielu artystom przy wyborze prac na wystawy, do katalogów. Mnie także. Jak więc oceniałeś wcześniejsze prace Jerzego Dudy i jaki był wasz wzajemny powrót do siebie?*

Po maturze straciłem z Jerzym kontakt. Dopiero w latach 70. znalazłem się w Katowicach na jego wystawie, która mnie bardzo poruszyła. Wkrótce inne przypadkowe spotkanie pozwoliło wznowić kontakty, trwające do końca. W tamtym czasie Jurek za żadne skarby nie chciał się ruszyć za granicę, dla niego istniała tylko Polska. Tymczasem jego żona, Wilma, ciekawa świata, wiele podróżowała. Tak się złożyło, że w latach 80. moja żona, Sabina, która ma podobne podejście do malarstwa i zbliżony sposób myślenia o sztuce jakiej miał Jerzy, była zapraszana na wystawy do Holandii. Kiedy przyszło zaproszenie na otwarcie jednej z nich, uknuliśmy z Wilmą podstępny plan, żeby zamiast Sabiny na wernisaż pojechał za nią Jerzy. Udało się. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy Jurek, człowiek bądź co bądź wówczas "zza żelaznej kurtyny", nie reagował na atrakcje Zachodu. Obojętne mu były szokujące nas w tamtym czasie swoim przepychem sklepy, co jakoś można zrozumieć, ale nie mogłem go

także namówić na wejście do jakiegokolwiek galerii czy muzeum. Jedyne raz udało mi się to w Antwerpii, gdzie jest największy na świecie zbiór obrazów Jana Vermeer'a van Delft. Był on dla Jerzego Dudy największym geniuszem i wzorem malarstwa. I tam przeżyłem kolejne zaskoczenie, a nawet szok. Jerzy obejrzał bardzo szybko całą kolekcję, poświęcając na każdy obraz po kilka sekund i czekał na mnie, gdy ja w tym czasie przyjrzałem się może dwóm, trzem płótnom. Zaskoczony sytuacją zapytałem, dlaczego nie ogląda obrazów. Odpowiedział, że już obejrzał. Nie próbowałem nic wyjaśniać, traktując sytuację jako żart z jego strony. Zrozumiałem to dopiero jakiś tydzień później, kiedy w domu gdzie mieszkaliśmy, Jurek namalował akwarelę przedstawiającą ulicę ze znajdującymi się na niej bardzo szczegółowymi detalami architektury, zieleni. Zapytałem o tę ulicę, odpowiedział, że jest to druga albo trzecia od miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Podejrzewając, że kpi, wziąłem obrazek i poszedłem skonfrontować to z rzeczywistością. To było coś niesamowitego: każdy szczegół z rzeczywistości odpowiadał temu z obrazka – ilość pięter domów, kwiatki na balkonach, układ cegieł w obramowaniach okien i wiele innych. Była to po prostu szczególnego rodzaju fotografia. Jak mi potem powiedział, tej fotograficznej pamięci uczył się przez lata. To przypominało pamięć genialnych szachistów, którzy po przeczytaniu książki potrafią ją powtórzyć słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Wkrótce się okazało, że ten sprokurowany podstępnie wyjazd artysty do Holandii rozpoczął bardzo bogaty w jego życiu okres licznych wystaw za granicą i podróżowania z nimi po świecie.

*Podobno Jerzy Duda od kilkunastu lat nie malował w swojej pracowni, gdzie było niezłe światło i komfort do pracy, i w której miałem okazję go fotografować.*

Ten okres w jego życiu jest również związany w pewien sposób z naszą rodziną. Moja żona Sabina kilkanaście lat temu namówiła go, z wielkim trudem, do udziału w Plenerze Jurajskim. On nagle odkrył, że ta forma pracy daje dużą swobodę i komfort twórczy, i tak już zostało do końca. Warto również zwrócić uwagę, że rozpoczęta wówczas seria obrazów jurajskich jest bardzo ważna w jego twórczości. *Obrazy jurajskie – jak pisze Jerzy Duda – odchodziły do krainy dzieciństwa rozpiętej gdzieś między Częstochową z Zawierciem, były powrotem w geograficzne i duchowe miejsca, gdzie moje lata dzieciństwa i młodości formowały się i pozostały jak kredowe odciski stworzeń sprzed tysięcy lat (...)* Były dla wielu zbyt filozoficzne,

*zbyt religijne, zbyt polityczne, zbyt historyczne i zbyt mało "moje". Krytycy sztuki PRL-u woleli widzieć mnie wyłącznie w roli nieszkodliwego błazna piętnującego "wady i przywary" socjalizmu. Z powstałych w latach 1983-1985 cyklu 80 obrazów jurajskich – 60 znalazło swoje miejsce w kolekcjach za granicą. Wyjeżdżał na plenery zorganizowane i prywatne. Mógł przebywać w najbardziej zapyziałych miejscowościach i w najgorszych warunkach, ale dla niego ważny był autentyczność, bliskość ludzi, przyrody, zwierząt. Był świetnym gawędziarzem, a w czasie plenerów, po ciężkiej pracy – bo malował od wczesnego świtu do późnego słońca – miał zawsze wiernych słuchaczy.*

*Obaj nie kryliście swoich odmiennych poglądów na sztukę. Spieraliście się, często nawet ostro.*

Jurek w sprawach sztuki był człowiekiem bezwzględny. Wszystko – oprócz rodziny – podporządkował sztuce. Gotów był dla niej do największych poświęceń. To była świętość jego życia, narzędzie gry ze światem. Bo on był właśnie Gracz. Był trudny w przyjaźni. Jeżeli przyjaciele, a miał ich przecież wielu, przeszkadzała sztuce, to ich odsuwał. Potrafił czasem przyjeżdżać do nas, do Częstochowy, gdzie przez wiele godzin w świetnej komitywie gawędziliśmy o różnych sprawach, a później, kiedy miałem do niego naprawdę coś ważnego, nie było go dla mnie przez tygodnie. Z czasem zrozumiałem, że to nie było lekceważenie mojej osoby, ale czas, gdy najważniejsza dla niego była sztuka, malowanie, tworzenie w wielkich napięciach i emocjach, jakie przy tym przeżywał. I w tym tkwi klucz do zrozumienia jego osobowości, zachowań. Mieliliśmy skrajnie różne poglądy na sztukę, nie zgadzaliśmy się, ale spajał nas wzajemny szacunek. Ja zawsze uważałem i uważam go za wielkiego artystę.

*Swoją galerię budowaliście z Sabiną przez wiele lat. Kiedy pomyślałeś o tym, żeby była to galeria autorska Jerzego Dudy Gracza?*

Był to proces zupełnie naturalny. Każda pracownia artysty jest miejscem spotkań ludzi sztuki, przyjaciół, czasem klientów, organizuje się wysyłkę wystaw, przyjmuje osoby z mediów. Podobnie było i u nas, przez naszą pracownię przewijało się wiele osób, jednak bezpośrednią inspiracją była wystawa obrazów holenderskiego malarza Petera van Rhonn'a w naszym ogrodzie. To wówczas narodził się pomysł zorganizowania galerii. Sporo czasu musiało jednak minąć, wiele pracy wymagał dom, który zaadaptowaliśmy do tej

funkcji, aby galeria stała się faktem. Miała to być na początku tylko galeria obrazów mojej żony.

*Album Jerzego Dudy Gracza "Powroty" z 1994 roku i on sam znowu w Częstochowie, w galerii Lonty – Petry przy ulicy Św. Rocha 206. Przy okazji warto zauważyć, że album z dedykacją "Częstochowie mojemu Miastu Rodzinnemu" sfinansował .... Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w ... Bielsku Białej.*

Przypadkowe spotkanie z Jurkiem zaowocowało stworzeniem odrębnej stałej części ekspozycji Jerzego Dudy Gracza w naszej galerii. O innych odcieniach tego powrotu pięknie mówią słowa jego tekstu z albumu: "Trudno jest mówić, kiedy się powraca. Szansa powrotu do Częstochowy została mi dana po 53 latach życia i 25 latach pracy artystycznej, poprzez sztukę. Do tej samej Częstochowy, którą w 1962 roku opuściłem, odfruwając w dorosłe życie (...) Wiem, że dzisiaj, że teraz, kiedy kres życia zbliża się szybko, wszystko, co było tam i wtedy, tamta moja Częstochowa, pięknie mi i cukruje się coraz bardziej. A przecież jednak, gwoli sprawiedliwości, muszę pamiętać, uciekałem od niej. Uciekałem do innego, lepszego świata, "żeby się odbić", żeby zostać kimś, wolnym od biedy, matczy-nych łez, ludzkiej nienawiści i pogardy (...) Wracam do niej ujawniając swoje przywiązanie i swój prowincjonalizm, chociaż jest to przyznanie może spóźnione i trochę anachroniczne. Bo nie przystające do błyskawicznie zmieniającej się dzisiaj Częstochowy. To wyznanie jest potrzebne mnie samemu jako mój znak identyfikacyjny przynależności do świata prowincji, wszelkiej powiatowości i peryferyjności (...)".

*Pracowite i bogate artystycznie dla Jerzego Dudy, a także i dla Was, były lata 1994-2004, aż nastał czas jubileuszu galerii.*

Jerzy cieszył się obecnością na nim, przywiózł wiele świetnych obrazów. Dla niego bardzo ważnym momentem tego dnia było spotkanie z Adamem Hanuszkiewiczem, z którym tak blisko poznali się tutaj po raz pierwszy. A przecież te dwie wielkie indywidualności polskiej kultury łączyło podobne spojrzenie na sztukę, jej społeczną funkcję i trudne dla niej czasy współczesne. Mimo wernisażowego zgiełku nie mogli się ze sobą nagadać. Jerzy podarował tego wieczora Adamowi Hanuszkiewiczowi bardzo piękny obraz.

*Bardzo bliska naszym sercom jest "Golgota Jasnogórska" Jerzego Dudy Gracza, przy realizacji której miałeś również udział, adaptując wewnątrz dla potrzeb ekspozycji.*

Mój projekt został zrealizowany tylko w niewielkim stopniu. Wracając do Jurka, myśl o namalowaniu Drogi Krzyżowej przewijała się jeszcze w jego młodzieńczych marzeniach. Ten zamiar dojrzewał w nim bardzo długo i dopiero w latach 1981-1983 powstały pierwsze szkice i ogólna koncepcja. Znaczący wpływ na to, i stworzenie dzieła w tej skali, miał jego udział w plenerze jasnogórskim oraz wielomiesięczny pobyt i malowanie na Jasnej Górze w roku 1981. Malując w międzyczasie inne cykle wciąż robił setki i tysiące szkiców do "Golgoty", aby ostatecznie w roku 1999 na zaproszenie Jasnej Góry przystąpić do realizacji. "Golgota Jasnogórska" była też, w pewnym stopniu, konsekwencją wieloletniej znajomości i przyjaźni Jerzego z kustoszem zbiorów jasnogórskich, o. Janem Golonką. On też był dobrym duchem tego niezwykle dla artysty wyzwania. Obrazy malowane były przede wszystkim w Szczyrku i Łągowie, a także w Nadrzeczcu, pracował od świtu do nocy. Zdarzyło się, że w pewnym momencie zamalował 8 gotowych już stacji, których przygotowanie zajęło mu kilka miesięcy pracy. Okazało się, że zasadniczym powodem były trudności z dostarczeniem płyty identycznej z tą, na jakiej malował, a na sprowadzenie której musiałby czekać kilka tygodni. Później uważał również, że w nieistniejącej już wersji "Golgoty" nie mógł uwolnić się od anegdoty i na obrazach było zbyt wiele osób z otoczenia.





*Inną, w wielkiej skali, realizacją Jerzego Dudy, rozpoczętą w końcu XX wieku – o którym mawiał, że jest to jego wiek – był cykl “Chopinowi”. 15 października 2004 roku, w Waszej Galerii z pasją mówił o tej pracy, o setkach godzin spędzonych na słuchaniu chopinowskiej muzyki, o kilku zdartych do cna odtwarzaczach CD i kilkuset płytach.*

To było spełnienie jego choroby na Polskę. To był odlot w świat Chopina, który pochłoniął go bez reszty. Mierzył się przecież z gigantem sztuki. Świat muzyki, który był mu bardzo bliski, próbował przetworzyć na język malarski. Pochłonięty był studiowaniem całej spuścizny muzycznej kompozytora, a także pism, listów, zapisków, korzystał również z wiedzy i uwag przyjaciół biegłych w muzyce. Większość tego cyklu powstała w Łagowie, część w Kamionie. Łącznie namalował około 300 obrazów, niektóre powtarzał. 283 dotyczy utworów Chopina zapisanych nutowo. Są w cyklu obrazy będące przetworzeniem napisów słownych Chopina. Sądzę, że wystawa “Chopinowi”, która będzie otwarta 30 czerwca 2005 roku w Warszawie, stanie się wydarzeniem artystycznym.

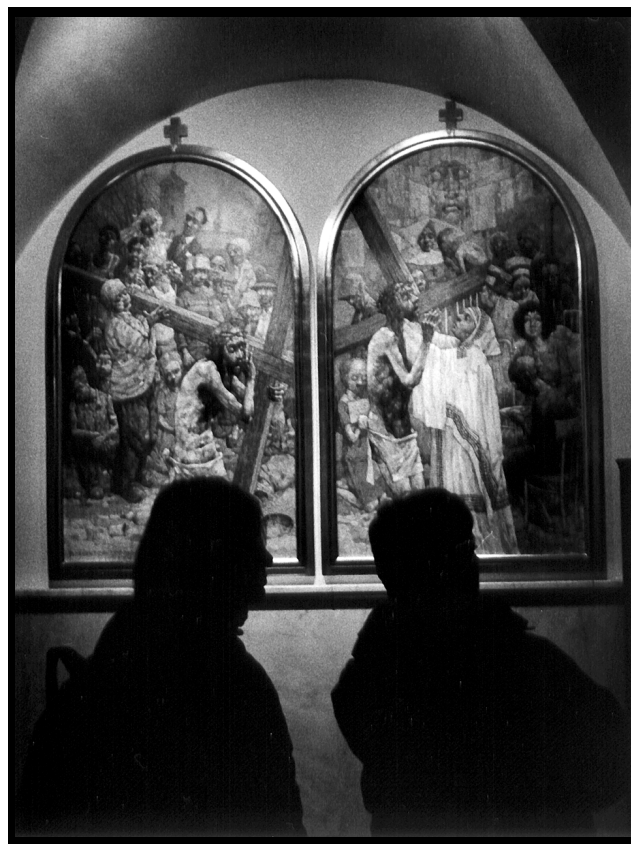
*Jerzy Duda współpracował również z kilkoma scenami teatralnymi i operowymi, w tym ze świetnym Teatrem im. S.I. Witkiewicza w Zakopanem. Prawdopodobnie jedną z najważniejszych dla niego w tej dziedzinie był współpraca z córką Agatą przy realizacji “Kaliguli”, spektaklu przygotowanego na jubileusz 100-lecia Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.*

Agatę znałem od dziecka, ale tak naprawdę poznałem ją dopiero niedawno, gdy uznawana za jednego z największych twórców teatralnych młodego pokolenia, poprosiła mnie o zaprojektowanie nowej sceny eksperymentalnej dla Teatru Słowackiego przy ul. Św. Ducha w Krakowie. W czasie realizacji projektu zapoznałem się z całym dorobkiem artystycznym Agaty, obejrzałem wszystkie jej spektakle. To były wspaniałe teatralne przeżycia, które wywarły na mnie ogromne wrażenie. Kiedy po tych odkryciach palnąłem Jurkowi, że chyba jego córka jest jeszcze bardziej zdolna od niego, zdumiony otworzył szeroko oczy, ale zaraz potem zaczął się uśmiechać. Tak już jest, że piękno sztuki, która jest jednak dżunglą, polega na różnorodności. Oni tacy właśnie byli. W jednym Agata jest kopią ojca: niesamowicie zdolna i pracowita aż do bólu. Jej dorosłe życie zaczęło się od studiowania w Krakowie historii sztuki a potem reżyserii teatralnej. Sukcesy artystyczne tej młodej kobiety mają tym większą wagę, że nosi nazwisko, na

dźwięk którego środowisko artystyczne Krakowa dostawało dreszczy. Antagonizm był obopólny, gdyż jej ojciec przy każdej okazji manifestował swoją niechęć wobec Krakusów. Reżyserowany przez Agatę spektakl “Kaligula” to piękna odsłona w życiu młodej artystki. Pracowali – razem z ojcem – bardzo sumiennie, ale to ona była kapitanem tego okrętu. Jerzy często mówił o odrębności świata sztuki córki, który bardzo szanował, ale on miał inny, własny.

*Widziałeś się z Jerzym Dudą kilka dni przed śmiercią. Czy coś szczególnego w jego zachowaniu zwróciło Twoją uwagę?*

On ostatnio obsesyjnie się spieszył. Dostrzegało się to nie tylko w malowaniu, ale także w porządkowaniu swojej spuścizny i archiwaliów, które miał bardzo bogate. Sądzić można, że swoim nadzwyczajnym zmysłem, który dotychczas prowadził go przez labirynty sztuki, tym razem wyczuł najbardziej gorzki smak swojego życia.



*Fotografie Janusz Mielczarek*

**P.S. od Redakcji: z woli spadkobierców Jerzego Dudy Gracza, jego autorska galeria sztuki w Często-**

## MROKI NOCY KULTURALNEJ

*Dochodzi 20. Pora wyjść na miasto i zobaczyć cuda pierwszej Nocy Kulturalnej w naszym mieście.*

Ten nowy trend przybył do nas z Zachodu, jak wszystko zresztą, a cała impreza doszła do skutku dzięki staraniom jednej z Częstochowianek, która taką noc widziała w Danii i zapragnęła to zjawisko przeczepić na nasz grunt. Takie noce ma Paryż, Rzym, Londyn, Berlin — dlaczego ma nie mieć powiatowa, cierpiąca na manię wielkości Częstochowa? W końcu jesteśmy w UE, a w Polsce awangardą we wprowadzaniu nowoczesnych standardów.

Ubieram się i wychodzę w ciemność. Mam jeden problem: nie posiadam karnetu uprawniającego do wchodzenia na wszystkie imprezy. Może być kłopot. W bramie spotykam znajomego, który ma dwa karnety, ale mu niepotrzebne, bo dziewczyna zrezygnowała, więc może mi sprzedać. Za piątą wszystkie lokale stają przede mną otworem. No to idziemy!

Najpierw do “Alchemii”, gdzie odbywa się pokaz filmów Pawła Popko. Niestety, bramkarz twierdzi, że nie ma już miejsc. Widzimy, że są. Upiera się, że będziemy zasłaniać obraz, a ważny jest komfort oglądających. Nie, to nie. Obok nas kilkanaście innych osób odprawionych w ten sam sposób. Dwie blondynki jednak wchodzi.

Kolega postanawia iść do “Gruszki” na koncert jazzowy Michała Walczaka, ja skręcam do “Utopii” zobaczyć XIII Międzynarodowy Turniej Gry w Chińczyka. Przed drzwiami około pół setki ludzi próbuje wejść bez karnetu. Okazuje się, że już rano ich zabrakło, a w wielu lokalach porobiono wcześniej rezerwację. Wchodzę i widzę tłum młodzieży przy stolikach. Między kuflami rozstawione plansze do gry, ale nikt nie gra. Gwarno, wesoło, ciasno. Przy ladzie spotykam znajomych. “To jest Kulturnacht!” – krzyczy dawny anarchista. Faktycznie, coś w tej nocy jest monachijskiego. Tylu ludzi w piwiarniach...

Po jednym mocnym udajemy się do teatru na Salon Własny — imprezę poetycką, promującą miejscowych twórców. Na ulicach dodatkowe patrole straży miejskiej zapewniają bezpieczeństwo mijającym się tabunom młodzieży - przed sobą nawzajem. Z każdego tramwaju wysypują się setki nowych uczestników zabawy. Gigantyczny karnawał z mapką w ręce. Na ścianach budynków porozwieszane drogowskazy, dzięki którym

można wszędzie dojść i coś zobaczyć. O tej samej godzinie w “Alchemii” odbywa się slam poetycki, ale wybieramy teatr, bo występuje tam córka znajomego. Będziemy jej kibicować. Szatniarki kierują nas początkowo na dużą salę, gdzie rozgorączkowany Marek Ślosarski opowiada przed kamerą TV, jaki to właśnie wielki sukces odnieśli na jakimś festiwalu sztuka “Skrzyneczka”. Sala się jednak nie zapełnia i idziemy na Histrión. W salce, ozdobionej stworami z bajek dla dzieci, poeci siedzą na krzesłkach w jednym rzędzie, publiczność — w większości krewni występujących — po drugiej stronie. Mogli chociaż w kominku, dla nastroju, napalić. Chyba, że to rekwizyt. Podekscytowany pan Marek zaczyna opowiadać o wielkim sukcesie, jaki odniosła “Skrzyneczka” na festiwalu, ale nikogo to nie interesuje, bo przyszli zobaczyć poetów w akcji. Ci zaczynają na umówiony znak czytać wiersze w ustalonym wcześniej porządku. Szybko i sprawnie im to idzie. Po pół godzinie kończą i zaczyna się dyskusja. W pamięci utkwiły mi tylko wiersze chłopca z wadą wymowy. Rozmowa początkowo się nie klei, z czasem głosy się podnoszą. Kolega zaczyna udawać geja i podrywa pana Marka. Pan Marek się denerwuje. No to, kolega podrywa poetkę w okularach, że niby taka samotna. Poeci zgodnie przyznają, że piszą w nocy, jak wampiry. Widzę trzynastolatkę, ludzi w średnim wieku i nieco starszych. Właściwie nikogo z nich nie znam. Jedna z poetek przedstawia się, że jest dyrektorem marketingu w teatrze i pisze wiersze o rozwodzie, ale nie swoim. Wcześniej pracowała w Banku Śląskim. Kolega zaczyna ją podrywać, ale pani się denerwuje. To chyba był jednak jej rozwód. Z sali wypowiadają się uznani poeci, że to wszystko lipa i śmierdzi akademią. Pan Marek zmieszany zaprasza ich na środek, żeby (jak tacy mądrzy) przeczytali swoje wypociny. Leci trochę wierszy z wyższej ligi. Trzeba zmienić formułę — mówią — bo scena “Błazen” fajna była, a to nie jest fajne. Fotograf teatralny w dziwnych pozach trzaska zdjęcia, kładzie się, kuca, przystaje na jednej nodze...

Idziemy na miasto coś wypić, ale wszędzie tłumy ludzi, jak w godzinach szczytu. Trudno znaleźć wolne miejsce, a dochodzi 23. Przed “Bostonem” tłumek widać z daleka. Nie każdy zobaczy “Bahama Party”. W “Oslo” pokazy salsy też oglądamy przez okno. W “Fanaberii” casting do nowego filmu “Legenda” Mariusza Pujszo odbył się w południe, ale nikogo nie wybrali.

Licząc po sprzedaży karnetów, w tej chwili 10 tysięcy młodych ludzi imprezuje w centrum miasta. Do OKF - u, ROK - u i Parku Staszica trochę daleko. Na chwilę przysiadamy w Biznes Centrum. Poeci mówią, jaki to upadek kultury ten slam, co go Mateusz Szkop robi, że to gorsze, niż telewizyjny "Idol" i uznanych poetów to tylko hańba tam może spotkać i poniżenie. "Błazen" to było coś. A slam to „niewiadomoco”.

O północy idziemy na taperkę Ziuta Gralaka do filmu "Bestia" z 1916 roku. Sala wypełniona po brzegi, z trudem znajdujemy miejsce. Zaczyna się film. Niestety, napisy lecą po angielsku (choć to film polski) i nie nadążam z tłumaczeniem tekstu. Wsluchuję się zatem w muzykę i próbuję zgadywać treść po mimice aktorów. Zasypiam. Budzę się pod koniec, a mój kolega jeszcze śpi. Kończy się seans. Wychodzimy, dyskutując zaciekle o zakłóconej fabule. Próbuję wejść do toalety, ale obstawiła ją straż miejska. Po chwili wychodzi prezydent miasta, wycierając ręce.

Czas na największą atrakcję, zapowiadaną przez najważniejsze dzienniki — chleb ze smalcem i kiszony ogóreczek. Czekam, aż prezydent wybierze największego korniszona i też się częstuję. Smalec niczego sobie. Tak pokrzepiony, z nowo spotkanymi znajomymi idziemy na początek Alei, do "Paradoksu". Koncert zespołu "Often Hides" się skończył, więc siadamy na pogawędkę przy piwku. Pod sufitem latają jakieś Harry Pottery na miotłach, a koło kibla kilku gości wali w tam – tamy, zagłuszając naszą rozmowę. To jam-session. Nie zauważają, że muszle klozetowe się zatkały i robi im się pod nogami mokro. Kolega opowiada anegdoty o zakładzie cerowania dziur w swetrach. Śmiejemy się. Czy istnieje gen cerowania, przekazywany z pokolenia na pokolenie?

Czwarta rano. Wracamy do domu. Oczywiście na nogach. Jest ciepło, spacer jest przyjemny. Mijamy spore grupy ludzi, widać, że "Kulturnacht" się jeszcze nie zakończył. I pomyśleć tylko, że tyle wrażeń i atrakcji za jedyne 5 zł! Już słyhać zapowiedzi, że następna taka noc odbędzie się w czerwcu, że będzie jeszcze lepiej i fajniej, choć i ta zakończyła się sukcesem frekwencyjnym. Pospiesznie stworzony wolontariat poradził sobie z organizacją, a oferta - mimo że nie odbiegała od przeciętnej weekendowej - zmobilizowała ludzi do nieustannego przemieszczania się z miejsca na miejsce.

(sb)

\* \* \*

Gdy się dowiedziałem, że uczestnicy II Częstochowskiego Kongresu Kultury też muszą mieć karty wstępu na nocne imprezy - okazało się, że kart już nie ma. Musiałem ograniczyć swój udział do imprez ze wstępem wolnym oraz do spaceru Alejami. A ruch był na nich jak w noc Bożego Narodzenia przed Pasterką. Bardzo poszukiwanym wydawnictwem okazał się wydrukowany program Nocy.

Niezwykle zyskał Czesław Tarczyński, którego wystawa trwała akurat w Miejskiej Galerii. Po wcześniejszym wernisazu, z udziałem bardzo licznych gości, takich tłumów na wystawie - i to w ciągu kilku godzin - chyba jeszcze ta galeria nie widziała.

Do obłożonego „Paradoxu” się nie dostałem, ale dotarłem do ulicy Krakowskiej 11. Wszedłem z bramy na pięterko, zgodnie z informacjami na afiszach - i takie było moje pierwsze spotkanie z nową galerią. Ogólne wrażenie sympatyczne. Już w korytarzyku zainteresowały mnie materia i rozżarzoną kolorystyką jakieś duże płótna. Dalej, w niewielkich pokojach obrazy i instalacje. Podobają mi się zwierzęta - malowane i żywy pies, który uczestniczy w wernisazu. Nie lubię skandalizujących prowokacyjek - żadna to teraz odwaga, ale cóż... Chociaż - rzecz ze straganem dewocjonalistów uwydatnia, że twórca żyje specyfiką miejsca. Jeszcze ktoś tam działa z kamerą. A nade wszystko - atmosfera prostoty, celowej surowości bardzo mi odpowiada. Stare drzwi, podłogi, piece; ciepłe wnętrza starej kamienicy, choć ogołocone, jak w czasie remontu. Przeciwnieństwo salonów i wymuszonych wernisażowych przemówień.

Od tamtej nocy przechodziłem kilkakrotnie koło kamieniczki. Jaskrawy pionowy pas oranżu i dwa poziome pasy zielone na zniszczonym tynku - zwracająca uwagę kolorystyka elewacji, która pewnie nie byłaby zaakceptowana przez miejskich specjalistów od estetyki. I znów afisz. Towarzystwo Wzajemnej Adoracji, Wrocław. Więc idę. Wielkie barwne fotogramy ludzkiej twarzy, wykorzystujące niesamowitą wrażenia, jakie daje przemieszczenie jej fragmentów, wbudowanie ich w niewłaściwych miejscach. Coś takiego robi w rysunkach Krystyna Piotrowska. Przylepione do ściany kartony. Trochę jak z przeglądu na Akademii.. Naiwność (zamierzona?) protestu w instalacji ze śmieci. I znów te wnętrza - i ciepło bijące od kaflowych pieców. I stół z krakersami i butelkami wina. I ludzie - znają się, coś gadają między sobą. Potem dowiaduję się szczegółów. Galerię prowadzą siostry - artystki, jedna po wrocławskiej, druga po krakowskiej Akademii. Jedna z nich zorganizowała latem dziecięcą paradę zwierząt, dla której ksiądz infulat z Kurii zaryzykował naruszenie paragrafu umowy z Telekomunikacją i udostępnił nagłośnienie Alej. Teraz w planie jest - też z dziećmi - budowa instalacji na placu katedralnym. Ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie. Bardzo obiecujące i potrzebne w Częstochowie miejsce.





PREZYDENT MIASTA CZĘSTOCHOWY  
dr inż. Tadeusz Wrona

Częstochowa, dnia 17 grudnia 2004 r.

Pan  
Marian Panek  
artysta malarz

*Szanowny Panie,*  
Z okazji jubileuszu trzydziestolecia pracy artystycznej składam Panu serdeczne gratulacje oraz wyrazy uznania.  
Pana prace malarskie prezentowane na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą zyskały dużą popularność. Znane i cenione są liczne realizacje scenograficzne oraz opracowywane przez Pana wystawy tematyczne i problemowe. Zdobyte nagrody i wyróżnienia świadczą o wysokiej ocenie i uznaniu Pana dokonań artystycznych.  
Na szczególną uwagę zasługuje Pana duża aktywność społeczna widoczna w działaniach na rzecz częstochowskiego środowiska artystycznego.

Życzę Panu wielu dalszych sukcesów w działalności twórczej oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Z poważaniem

*Tadeusz Wrona*

URZĄD MIASTA CZĘSTOCHOWY  
42-217 CZĘSTOCHOWA, ul. Śląska 11/13  
tel. (34) 361-02-02, (34) 370-73-22, (34) 365-19-30  
tel./fax (34) 368-27-27, fax (34) 365-13-61  
e-mail: info@czestochowa.um.gov.pl  
http://www.czestochowa.um.gov.pl



## Artysta uczestniczący

Chyba w większej części historii sztuki - bo nie tylko w XX wieku - artyści dzielili się na progresywnych i zachowawczych. Jednak od końca ubiegłego stulecia zaszła zasadnicza zmiana, gdyż dodatkowo nastąpiło utożsamienie awangardy z nowymi mediami artystycznymi. Zatem różnica nie polega już tylko na zawartości deklaracji ideowej (manifestów), ale na zupełnie innym niż dotychczas postrzeganiu i przeżywania kondycji ludzkiej i zasadniczo odmiennym (nietradycyjnym) - nowym rodzaju wypowiedzi. Stąd zdaje się artyści już nie tylko tworzą nowatorsko i niekonwencjonalnie żyją, jak to miało miejsce prawdopodobnie zawsze, lecz niektórzy z nich prezentują być może nowe cechy antropologiczne. Jak bardzo byłoby to śmiałe stwierdzenie, to jednak ewolucja gatunku ludzkiego ma przecież miejsce.

Co decyduje o takiej różnicy postaw. Tworzenie nowych form artystycznych takich jak happening, instalacja (environment), performance (akcja), obiekty, video? Czy też są one wytworem właśnie nowej sytuacji antropologicznej określanej jako ponowoczesna, postpoznawcza i postludzka. Którą cechuje w intelektualnej strategii artystycznej postkonceptualizm, feminizm, gra z reklamą

i mediami, bezgraniczna (nawet po obraźliwie dotykaniu) śmiałość w krytyce i przewartościowaniach, na wskroś przenikliwe analizowanie wszelkich wzorów i tabu aż po ich dekonstrukcję. Jest to też nie dająca się łatwo zwerbaliżować odpowiedź artystów na skryty w cywilizacji i życiu irracjonalizm.

Zdaje się obserwujemy wielość światów sztuki. Możemy przypuszczać, że w jakiś sposób muszą się rozszczępione obszary kultury spotykać, gdyż inaczej jakkolwiek komunikacja między nimi byłaby całkowicie niemożliwa. A przecież równoległości w pewnym punkcie zbiegają się.

Marian Panek należy do artystów penetrujących wymiary postrzegania rzeczywistości. Jest jednym z progresywnych artystów, uczestników dzisiejszych działań artystycznych, których wyróżnia tendencja do poszerzania definicji dzieła i twórcy oraz redefiniowania pojęć poprzez nowe środki i formy wyrazu sztuki.

Jego droga cechuje się konsekwencją. Jako student Jonasza Sterna interesował się teatrem, to skutkowało parateatralnymi działaniami. Później pojawiły się realizowane konceptualne interwencje i projekty: Biała lokomotywa, Krzesło przed obrazem, wystąpienia i aranżacja wystawy - własnego pomysłu - Miejsca.

Panek jednak nigdy nie przestał malować i rysować. Wykazuje w tych dziedzinach intuicję. Zawsze znajdziemy w nich przecucia i odniesienia do realnych sytuacji. Drażnione treści znaków odsłaniają symboliczne i alegoryczne pokłady. Razem z dopełniającymi przekaz barwami mają ładunek jakiejś psychologicznej prawdy.

**Piotr Głowacki**



Fot. Jerzy Piwowarski

"Białe drzewo - drzewo do wspólnego opracowania", 1986,

## "... Względność przestrzeni wszystkie linie zgina a ślepiec liże bezbarwne przedmioty ..."

Witkacy z prologu do dramatu "Tumor Mózgowicz"

## "Czwarty wymiar w malarstwie"

Jest dla mnie przemianą, transformacją, przechodzeniem od czegoś do inności.

Według koncepcji indyjskich idea całościowa bytu związana jest ściśle z liczbą cztery. W aspekcie uporządkowania czwórka jest tym, czym tetramorfos w aspekcie mistycznym. Tetramorfos jest przejawianiem się zasady czwórki związanej z ideą usytuowania i z intuicją przestrzeni jako porządku. Platon stwierdził: "Trójnią jest liczbą idei, czwórną liczbą urzeczywistnienia idei. Kompletność jest czworokątna, stoi na czterech nogach". William Blake w swych "Czterech Zoa" mówił o "czterech sensach człowieka". Natomiast E. Jung głęboko interesował się symboliką czwórki, według której wzorca skonstruował swój model ludzkiej psyche wyposażonej w cztery funkcje: postrzeganie, intuicję, uczucie i refleksję.

Czwarty wymiar w malarstwie ma wiele związków z ideą czwórki jest jej pewnym urzeczywistnieniem. Czwarty wymiar w malarstwie jest właśnie kategorią urealnienia transcendentnego bytu. Wymiarem przeistaczania się transmutacją wcześniejszych poprzedzających go, obecnych równocześnie z nim trzech wymiarów w czwarty wymiar czasu-przestrzeni malarskiej.

Sam proces przemiany trzech wymiarów i uzyskiwanie czwartego, jest obecny u tych artystów, którzy odrzucili przedstawiający obraz malarski, jako cel własnej twórczości, a którzy to znaleźli w obrazie, w ruchu, w rytmie, w przestrzeni, w czasowym przebiegu malarskiej kreacji granice trzech wymiarów. Granice własnego twórczego ograniczenia zarówno duchowego jak i mentalnego - i którzy

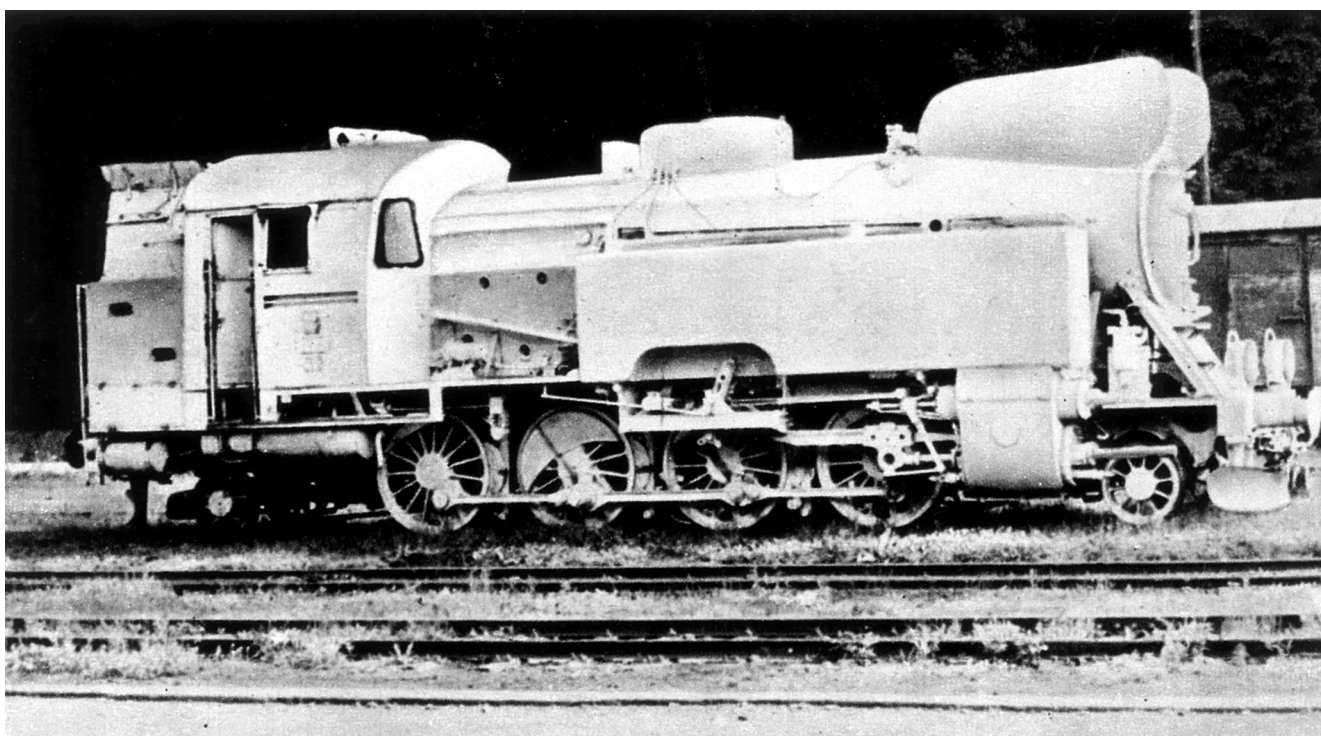
to zrozumieli że granice trzech wymiarów można opuścić w momencie ich transformacji, gdzie materia malarska nie jest już tylko jak to nazywa Marcel Duchamp "siatkówkowym przedstawieniem" lecz przestaje nim być, kierując się w rejony mentalnego widzenia malarskiej kreacji, w postaci przekroczenia progu otwartych drzwi, wyobraźni, w kierunku nowych wizualnych symboli. Symboli związanych z naszą życiową egzystencją, energią, zmysłową i mentalną aktywnością.

Czwarty wymiar w malarstwie, wyraża się poza tą symboliką otwartą grą z tym co w obrazie opisowe, odkryte, ujawnione, pozbawione tajemnicy przeistoczenia, czasowego rozwoju widzenia, nabudowywania się znaczeń i nowych kierunków odniesień. Symbole i znaki, ślady, zapisy stanów emocjonalnych pojawiające się w moim malarstwie i pracach rysunkowych są rodzajem automatycznej - intuicyjno-emocjonalno-mentalnej wewnętrznej ikony zunifikowanej do granicy rozpoznawalnego w formie i treści zmultiplikowanego modułu. Powtarzalność formy i podstawowej znaczącej treści stało się dla mnie próbą znalezienia w procesie plastycznego zapisu - konkretnie ciągłości pomiędzy mną a Kosmosem. Wielokrotnie przywoływane te same znaki stanowią dla mnie słyszalną partyturę dźwięków, gdzie taktowanie, a zarazem pewna równoczesność tego samego rozbudowanego i mimo wszystko modyfikowanego w barwie, tonie i kształcie dźwięku w konsekwencji daje malarsko - rysunkową abstrakcyjną jakość powiązaną z rzeczywistością.

Zwizualizowany świat dźwięków, śladów narzędzia, znaków malarskiego pisma a jeżeli to możliwe również "tysiąca spojrzeń" stał się w moim wypadku pewnym dążeniem do czwartego wymiaru. Próba wizualizacji spojrzenia jak i dźwięku jest określonym wyzwaniem polegającym na tym by uzyskać jak najprostszymi środkami wyrazu plastycznego jak największą ekspresję czasu i przestrzeni w obrazie.

**Marian Panek**

Częstochowa, grudzień 2002



Fot. Archiwum "Projektu"

"Biała lokomotywa", 1973, II Festiwal Studentów Szkół Artystycznych w Nowej Rudzie

**Piotr Głowacki**

## Plenery, plenery

W roku 2004 urządzony został 30. Ogólnopolski Plener Malarski "Jurajska Jesień". Sytuacja jubileuszowej rocznicy w zrozumiałym sposób domaga się oglądu, refleksji i próby podsumowania. Sam nigdy nie byłem uczestnikiem tego – w jakiej mierze – fenomenu, więc nie żywię tym samym, najczęściej sentymentalnych w takich wypadkach, wspomnień. Jednak kilkakrotnie w jego organizacji pomagałem. Pamiętam i takie poruczenia, jak to, że w roku 1981 zawoziłem na miejsce zgrupowania plenerowiczów Panią, która przyjechała z warszawskiej Zachęty z wykładem dla nich. Innym razem – już po 1989 – towarzyszyłem malarce z Niemiec w spacerze przez Aleje z hotelu do BWA.

311 uczestników - artystów z Polski i z zagranicy to fakt mający swoją wagę. Zanim naszkicuję historię naszego pleneru, słowo o historii pleneru jako takiego. Bezprecedensowego zerwania z malowaniem wyłącznie w pracowni dokonał Eugene Bodin, który to "jak się zdaje zainicjował malowanie na wolnym powietrzu, tworząc na farmie Saint-Simeon ważne ognisko artystyczne, gdzie spotykali się Jongkind, Calude Monet, Bazille i wielu innych i wykonywali za jego radą studia z natury".<sup>1</sup> Maurice Serullaz<sup>2</sup> jako praktycznego twórcę malarstwa plenerowego wskazuje Daubigny. Píše on "pejzażyści, którzy pracowali w Barbizon w drugiej połowie XIX wieku, a zwłaszcza Daubigny i Diaz, mieli także wpływ na impresjonistów. Daubigny jako jeden z pierwszych pływał w swej łodzi "Le Botin" z biegiem rzeki Oise". Rozstrzygającą różnicą w studiach z natury tych malarzy była jednak metoda "widzenia bezpośredniego", a miłość natury była inspiracją. Nie jak to często dziś ma miejsce – celem.

Nowa praktyka przyciągała nowych adeptów. I tak Claude Monet w 1863 malował w Chailly-en-Biere w lesie Fontainebleau. U ujścia Sekwany między Honfleur, Trouville, Deaville i Havrem malarze malowali "włącznie i wprost z natury". Wyjeżdżano do Saint-Adresse i Bougival. Innym miejscem było Argenteuil, gdzie w pierwszej połowie dekady lat 70. XIX wieku malowali: Auguste Renoir, Monet i Edouard Manet. Monet mieszkał tam kilka lat i stworzył serię olśniewających płócien będących nie tyle ekwiwalentami urody lata, co niezwyklejmi jakościami kruszcu materii malarskiej.

"Przez cały XIX wiek malarze pejzażyści wykonywali pospieszne szkice olejne na wolnym powietrzu - uważali je jednak tylko za wstęp do ostatecznego dzieła malowanego w pracowni. Od wczesnych lat 40. XIX wieku wioski Barbizon i Marlotte służyły za miejsca wypadowe malarzy pejzażystów. Charles Francois Daubigny, jako jeden z pierwszych uznał swoje szkice z natury za gotowe do wystawienia. Co ciekawe, krytykowano go za „poprzestawanie na impresji”. Po opuszczeniu pracowni Glayre’a, Monet zaczął malować w plenerze, na wybrzeżu Normandii. Od roku 1863 sam już prowadził plenerowe ekspedycje do wiosek Barbizon i Marlotte, gdzie razem z Renoirem, Bazillem i Sisleyem wypracowali podstawy sztuki impresjonistycznej.”<sup>3</sup>

Dalej były Saint Tropes, Pont Anen czy Arles. W Polsce Orońsko Brandta, które "w lecie zamieniało się w prawdziwą kolonię artystyczną. Brandt zapraszał do swojej posiadłości kolegów i uczniów, których wspólną pracę określano mianem Wolnej Akademii Orońskiej. Bywali tu: Władysław Wankie, Jan Rosen, Władysław Szerner, Tadeusz Ajdukiewicz, Stanisław Czachórski, Jan Chełmiński, Alfred Schouppé, Apoloniusz Kędziński, Józef Kania.”<sup>4</sup> Józef Chełmoński miał z kolei Kukłówkę.

Pamiętać trzeba, że impresjoniści malowali także plenery miejskie (oczywiście w tym też mieli poprzedników) - wedyty. Tu niewyczerpanym źródłem inspiracji był Paryż i Londyn, które uzyskały w ten sposób obszerną na najwyższym możliwym poziomie artystyczną ikonografię. U nas Warszawę ciekawie portretował Aleksander Gierymski.

Nasuwa się zatem pytanie, czy pobyt na plenerze na Jurze obfituje w rozliczne odczyty, referaty i wypowiedzi chociażby o impresjonizmie. Dokumentacja milczy na ten temat. Być może jednak często refleksja uczestników animowana jest wypowiedziami znawców przyrody, jej filozoficznych i teologicznych aspektów, sporami na temat kreacjonizmu i ewolucji; pochodzenia życia. Co wiąże się z ekologią, stosunkiem człowieka do środowiska, którego nie stworzył, a które uznaje za własne i z konsekwencjami dla niego swoich zachowań liczyć się nie chce.

Wydaje się, że istnieje aż nadto wiele możliwych obszarów rozmowy podczas pleneru-symposium. Bo sztuka dzisiaj najbardziej nowa odchodzi od tradycyjnych dyscyplin i warsztatu na rzecz innych możliwości konstruowania artystycznej wypowiedzi w pełni niezależnej od problemów postrzeganych tradycyjnie. Ale nad wyraz ciekawe byłoby wysłuchiwanie uzasadnień zwolenników jednej i drugiej drogi artystycznych realizacji. W końcu, po obronie własnych racji artyści



zachowawczy mogliby zgłębiać studia nad problemami realizmu, zajmować się dogłębnie - bliskim im, jak sadzę – zagadnieniom post- czy neo- lub impresjonizmu. Zawsze przydatne chyba jest poznawanie problemu relacji przedmiotu do jego obrazu. Jeżeli nie ma dziś wprost kontynuacji akademizmu, czy jednak nie warto by wysłuchać cyklu wykładów o perspektywie, czy choćby znaczeń motywów ikonograficznych? A historia malarstwa pejzażowego w formie wieczornych konwersacji?!

Można też stawiać bardziej ogólne problemy dzisiejszej doby, na tle których plener, natura i malarstwo, malarstwo natury i z natury, powinno okazać tym bardziej swą nieprzemijającą wartość, znaczenie, sens.

W dekadzie lat 80. ubiegłego wieku w Częstochowie - jednak nie jednocześnie - dochodziło do realizacji trzech plenerów. Oprócz zwanego potocznie Pleneru Jurajskiego, odbywał się Plener Jasnogórski, a potem zainicjowano (dalej aktualny) Plener Miejski. Jeżeli odnieść "Jurajską Jesień" do aspektu natury, Plener Jasnogórski natomiast do czynnika duchowego, to Plener Miejski odpowiadałby sferze kultury. W ten sposób Częstochowa stać się mogła swoistym centrum plenerowym i to dającym pełnię (doskonałość liczby 3) możliwych odniesień i doznań. Tak jednak nie jest, a istniejące plenery coraz częściej wywołują głosy krytyczne, także w mediach.

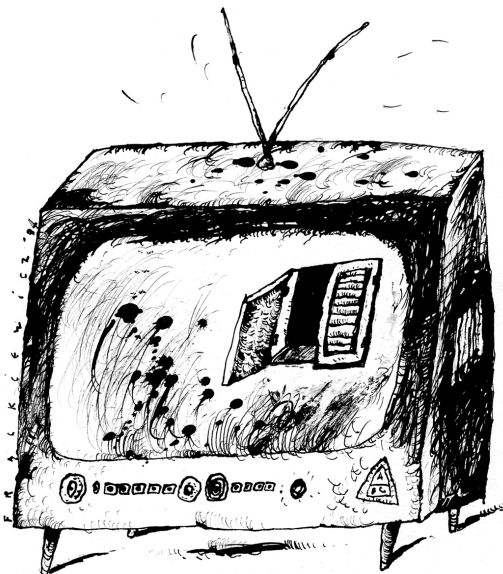
**Piotr Głowacki**

<sup>1</sup> Maurice Serullaz, Impresjoniści, w Encyklopedia impresjonizmu, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa, 1991

<sup>2</sup> Ibidem, Wstęp

<sup>3</sup> <http://leonardo.republika.pl/impresjo.html>

<sup>4</sup> <http://www.rzeźba-oronsko.pl/brandt.php>



Rys. Jacek Frąckiewicz

## Show musi trwać

*Minął rok, kolejny rok. Dobrze to i melancholijnie jednocześnie. Ale za to zawsze można się pocieszyć, że są odwieczne wartości oraz ludzie – myślę o artystach – którzy uparcie gonią idee i ideały. I to jest niezwykle, że mamy ich nawet w Częstochowie. Przez miniony rok, który właśnie upłynął (odpukać) działo się w sztuce rodzimej wiele rzeczy. Kto o nich wie? Łatwo się dowiedzieć choćby z rozmów ze znajomymi. Zachowują oni upór godny słusznej sprawy, co też budzi we mnie coraz więcej wątpliwości odnośnie realności materii kultury. Otóż, złośliwie utrzymują, że nie wiedzą nic (ni w ząb?) o galeriach, wystawach, konkursach, nagrodach. Chyba jedynie o pastelach z Francji. Pytają zaś tylko o tych artystów, z którymi chodzili do szkoły.*

*A tak naprawdę, to i mnie samemu trudno, ot tak, wymienić jakąś skandalizującą wystawę, jakby najbardziej żywy nurt awangardy miał wiry tylko w miastach. Z drugiej strony, właśnie dowiedziałem się, że jest już nad Wartą stowarzyszenie imienia Jerzego Dudy Gracza.*

*Przypominam sobie, że w tym roku byłem na kilku wernisażach.... Kojarzę to z tym, że narzekano na zimno, albo, że - z winy komisarza - malarze nie uczestniczyli w dysputach o sztukach wizualnych. Słyszałem też zdroworoządkową opinię, że co to ich może obchodzić. W końcu, najlepiej całą drobiazgowość piękna wydarzenia i obrazów przekaże prasa. Telewizja i radio staną na głowie, by zachęcić niezdecydowanych do udania się do miejsca sztukom pięknym poświęconego, a to ujęciem szerokokątnego obiektywu lub non-stop skocznymi dźwiękami. Chociaż ostatnio, na bardzo przebojową wyrasta strasznie podziemna gazeta z kodem.*

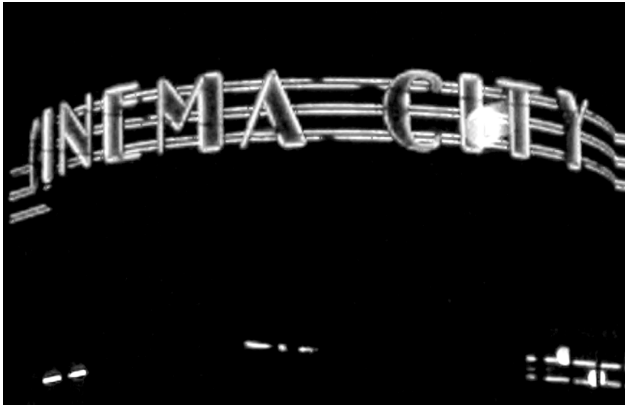
*Drzemie to środowisko. Przepraszam, w tym środowisku drzemie ogrom sił. Są tu światowej sławy mistrzowie pędzla. Można ich zobaczyć (na ulicy), a niektórych wprost nie widzieć się nie da. Mówią coś, ktoś im pozuje... Oni i tak tylko o malowaniu myślą, a potem jak nikogo nie ma – malują... Muzyków (sensownych) słyszać i widać - mniej na scenie. Dużo też było widać troski o błędy i kolegów z problemami. Miło czuć wiatr w oczy, że zawsze ktoś o tobie pomyśli. Oczywiście, z nienaganną i bezinteresowną nieżyczliwością. Albo z pomieszania, które każdy grajdół w nadmiarze wytwarza, a co szczególnie szkodzi mniej świadomym dóbr kultury i intelektu odbiorcom.*

*Co zatem zrobiło na nas niezatarte wrażenie? Czy tylko ta wraźliwość powszednia? Neo czy post soc realistyczni "Trzej młodzi koledzy" niech żyją!!!*

*Czy to wszystko od starości zależy? Na pewno wszystko się na lepsze w nowym roku odmieni. Bo sztuka i kultura ma na zachętę na swoje iść - pod park. A tam całe piętra już najprzedniejszych sztuk, w swej krasie najokazalszych. Ożywiłem się, bo widzę to miejsce głośnym na mapie globalnej szachownicy. Dlaczego nas sympatią darzyć nie mają artyści (także legendarni) z całego świata? Z niewielką pomocą przyjaciół, swoje jeszcze pokażą czempioni, bo show musi trwać!*

**Tomasz Kin**

## PAMIĘTAM STARE KINO



*Ogromny, czerwony neon nowego kina w Częstochowie przywołuje w pamięci dawno utrwalone obrazy. Nie ma już dawnej Kościuszki, nie ma kina "Wolność" i innych kin mojej młodości...*

Piętrowy budynek z zaokrąglonym narożnikiem na rogu II Alei i Kościuszki. Na budynku gabloty reklamowa kina "Wolność", z plakatem właśnie wyświetlanego filmu, z godzinami seansów, z repertuarem na cały miesiąc, z cenami biletów, i z czymś tam jeszcze....

Po zakończonych lekcjach, my "trauguciacy", bez względu na pogodę, pojedynczo, w mniejszych i w większych grupach, ruszaliśmy Jasnogórską do Kościuszki w kierunku Alei i dalej na wysokość kina. Tam był przystanek, skąd wypatrywaliśmy wychodzących z bramy naprzeciwko biało-granatowych dziewczyn ze "Słowackiego". Mieliśmy dużo bliżej od tych z "Sienkiewicza", ale ich tam też nie brakowało. Cały spektakl trwał kilka minut, ulica pustoszała, a my koncentrowaliśmy uwagę na gablotach, które zapowiadały kolejne programy kina, przeważnie niedostępne, bo dozwolone od lat 18...

"Wolność" była w tamtych czasach zdecydowanym liderem częstochowskich kin, nawet wiele lat później, już w gierkowskich czasach, nie przyćmił jej sławy rakowski "Relax", a zawsze o kilka długości w tyle były "Bałtyk" i "Tęcza". Pamiętać trzeba, że kino było wtedy praktycznie jedynym, na dodatek niezbyt dużym, oknem na świat. Telewizja jeszcze nie zaistniała, gazety codzienne były bardzo szare, bardzo codzienne, radio zdominowane pogadankami, piosenkami i muzyką ludową. Z kolorowych gazet niedościgły "Przekrój" sprzedawano wyłącznie spod

lady, "Dookoła Świata", śląska "Panorama" przyszedł później, a super masowa "Przyjaciółka" nas nie interesowała.

Wszystko było jednak daleko za kinem. Do dziś pamiętam dobrze, pobudzający wyobraźnię, utrzymany w czarno-białej tonacji, plakat francuskiego filmu (bodajże "Poznane nocą"), na którym kobiece nogi w czarnych pończochach oplata pajęczyna, pajęczyna zła. Elektryzujące nazwiska - Jean Gabin, Ives Montand, Daniele Darieux, gwiazdy włoskiego neorealizmu, boskie Gina, Sophia, Claudia, francuski uroczy Gerard Philippe - Fanfan Tulipan, którego "fanfana" nosili na głowach wszyscy mężczyźni od lat pięciu do dziewięćdziesięciu. Epoka westernu - jakże pięknych i uroczych bajek - dotarła do nas znacznie później, praktycznie po polskim Październiku.

Pamięć, tak jak szuflada ze starymi rupieciami, w której nie ma porządku, wywołuje nieusystematyzowane obrazy. Pierwsza moja wizyta w kinie, właśnie w "Wolności" a może jeszcze w "Lunie", bo taką nazwę nosiło kino przed zmianą, miała miejsce zaraz po wyzwoleniu. Zabrała mnie Pela, dziewczyna która była u nas całą wojnę, wysiedlona, podobnie jak moi dziadkowie i stado ciotek, z jakże niemieckiej ziemi sieradzkiej. W domu, gdzie w dwóch pokojach gnieździło się siedemnaście osób, rozmawiano o wszystkim, a więc i temat kina był obecny. Słyszałem, choć nie rozumiałem antyniemieckiego hasła "tylko świny siedzą w kinie" i równocześnie zachwyty nad wspaniałościami tegoż kina. I właśnie Pela zabrała mnie tam pierwszy raz, na jeden z pierwszych seansów w wolnej Polsce. Było ciemno, duszno, potworny tłok, wielki ekran, hałas, jakieś sceny wojenne, dużo ognia, armaty, czołgi, stosy trupów. Chciałem do domu, do moich zabawek, spokojnego kąta w zatłoczonym mieszkaniu. Późniejsze wizyty w kinach były przyjemniejsze, ale i tak długo nabijali się ze mnie, że w "strasznych" momentach chowam głowę pod krzesło i nie oglądam tego, co niemiłe.

A samo kino "Wolność"... Zawsze ciasny i zatłoczony hol, wieczne kolejki do dwóch kas - jednej normalnej, drugiej z biletami ulgowymi, i częstym napisem "ulgowych brak" - stalowe barierki, regulujące ruch kolejkowiczów, ścisk, zgiełk, zaduch. Koszmarna, śmierdząca toaleta i oczywiście królowie podziemia - "koniki". „Koniki”, ówczesna szara a raczej czarna strefa, sprzedawały bilety z ogromnym, nawet stuprocentowym narzutem, wykupione sobie tylko znanym sposobem z kinowych, państwowych kas. Nie każdego i nie w każdej sytuacji stać było na luksus kupna od "konika", byli jednak tacy, którzy dawali im zarobić.

Podobnie koszmarne wspomnienia przywodzi na myśl dawna poczekalnia z bufetem, sprzedającym szeleszczące (nawet bardzo) cukierki, a w późniejszych czasach kawę po turecku, specyfik, po którym armia turecka na pewno nie dotarłaby do Wiednia, a nasz Sobieski nie miałby gdzie odnieść sławnej wiktorii. W poczekalni palili wszyscy, chyba nawet niepalący, a przez tumany gęstego, smrodliwego, szaroniebieskiego dymu, nie było widać najbliższych, z którymi przyszło się do kina, a czasami na film. Mimo wszystko było to lepsze, niż dominujący w dzisiejszych czasach smród palonej kukurydzy.

Wreszcie za zamkniętymi drzwiami sali kinowej rozlegał się rumor podnoszonych krzeseł, gwar opuszczających salę, szum ogromnych, umieszczonych pod sufitem, wentylatorów. Wreszcie cisza, bileterki otwierały kolejno drzwi, najpierw te od drugich miejsc, gdzie siedziało się z głową zadartą do góry i nie obejmowało wzrokiem całego ekranu, na dodatek w potwornym hałasie ogromnych głośników, potem kolejnych. Wpychająca się do sali ciżba, awantury o podwójnie sprzedane miejsca, interwencje bileterek, dostawianie krzeseł. Wreszcie kronika filmowa, filmowy dodatek, wpuszczanie spóźnialskich, kolejne zamieszanie. Seans. Przeważnie ktoś wysoki lub elegantka z wielkim kokiem zasłaniał pół ekranu, ale się było, widziało, a czarno-biały obraz na długo stanowił temat rozmów w domu, w pracy czy w nielicznych kawiarniach.

Miałem pewnie z dziesięć lat, gdy samodzielnie (a byliśmy w tamtych czasach bardzo samodzielni, miasto było bezpieczne, samochody widziało się rzadko, ludzie też byli inni, zyczliwsi) wybrałem się na seans "Podróży Guliwera" Disneya, uroczą pełnometrażową kreskówkę. Przez kilka następných dni próbowałem kupić bilet; czerwona "stowa", wyproszona od Mamy, prawie rozpuściła się w zaciskanej przez tyle dni piątce, sponiewierany, wypychany, wreszcie dopiąłem celu, kupiłem! Bilet był na szóstą wieczorem, a to wykraczało poza granice przyzwoitości. Ale byłem, obejrzałem, wiele scen pamiętam do dziś, a uroku tego widowiska nie zatarła późniejsza projekcja telewizyjna, oglądana w towarzystwie mojego małego synka. On na pewno nie podzielał mojego entuzjazmu i wątpię, czy cokolwiek zapamiętał.

Kino ewaluowało. Pamiętam pierwsze po Październiku 1956 roku - jakże wtedy ekskluzywne i egzotyczne a przy tym elitarne - odbywające się po godzinie 22, w ciasnym "Bałtyku", projekcje przedwojennych filmów Chaplina "Gorączka złota", "Brzdąc" i innych światowych arcydzieł. Siedziało się na podłodze lub stało dwie godziny pod ścianą, pot łał się strumieniami, brakowało powietrza, ale się było, widziało. Podobna

atmosfera panowała po latach na pierwszych pokazach "Człowieka z marmuru".

Legendarną sławę miały również, popularne wśród młodzieży, poranki w kinie "Tęcza". W gruncie rzeczy była to niemal szopa na zapleczu jednej z kamienic w I Alei, gdzie dziś jest znany Shop. Spotykali się tam wagarowicze ze wszystkich częstochowskich szkół, zawiązywały znajomości, przyjaźnie, miłości. Bywali też, chyba ze względu na bardzo niską cenę biletów, emeryci i kinomani, przychodzący na powtórki. Warunki były straszne, nie miało to jednak znaczenia dla prawdziwych miłośników kina.

Do naszej "Wolności" chodziło się też obowiązkowo, niemal służbowo, ze szkołą. Wyświetlano filmy, przeważnie produkcje bratnich krajów ze Związkiem Radzieckim na czele. Widziałem obronę Stalingradu, bohaterskich krasnoarmiejców i ośmieszonych Niemców, ale to było w pełni zrozumiałe, dla nas, dzieci wojny, Niemcy to było zło. Poznałem historię Iwana Groźnego, Pugaczowa, bohaterskiego Czapaiewa i innych. Nie żałuję, że kiedyś to oglądałem. Takie były czasy, a zdobyta wiedza przydała się, nauczyła dystansu do wielu spraw, do propagandy.

Miała też Częstochowa inne przybytki X Muzy. Jeszcze w czasach stalinowskich, na terenach wystawowych w III Alei, a ściślej między Aleją, obecną Popiełuszki a Jasnogórką, funkcjonowało "kino letnie", nie wiem, czy miało jakieś imię, może "Przyjaźni Polsko-Radzieckiej", bo wyświetlano w nim właśnie radzieckie filmy, a najczęściej obraz "Glinka - czarodziej sadów", który obejrzałem kilkadziesiąt razy, bo co można robić innego, gdy nie było telewizji, komputerów, a "majowe", obowiązkowa majowa rozrywka, dostępna była tylko w maju. Kino było darmowe, ale bilet na wystawę kosztował, pieniędzy nie było, była za to przedsiębiorczość i mnie tylko znana dziura w wystawowym płocie. Oprócz wspomnianego "Glinki" wyświetlano filmy dla rolników: o stoncy ziemniaczanej, turkuciu podjadku i o wołku zbożowym oraz kroniki filmowe sprzed pół roku; wiem to na pewno, bo mimo pełni lata na ekranie panowała zima. Zdobytą wtedy wiedza rolnicza nie na wiele się przydała, ale dzięki niej jestem lepszy od absolwentów współczesnych szkół podstawowych.

Kino służyło też innym, wzniosłym celom. Tańczył w nim "Śląsk", może "Mazowsze", odbywały się imprezy sportowe, z których najlepiej pamiętam bokserki "pierwszy krok". "Trup" padał gęsto, co drugiego uczestnika wynoszono na trawkę, gdzie wiadro zimnej wody wylane na delikwenta, stawiało go na nogi. Przywracało do życia, a zarazem kończyło błysko-



tliwą karierę. Byli już wtedy tacy, co stosowali doping, czyli ćwiartkę, lecz tych sędzia, który każdemu zawodnikowi kazał chuchnąć, bezlitośnie dyskwalifikował.

Przełom październikowy zaowocował nie tylko zmianami repertuarowymi. Kino "Wolność" udzieliło oczywiście za dobre polskie złotówki gościny niejednej imprezie, dla której brakło miejsca w teatrze czy na stadionie. To w naszej "Wolności" odbyły się koncerty orkiestry jazzowej Zygmunta Wicharego, to tu śpiewała sława tamtych lat, Elizabeth Charles, tu prezentował się legendarny Bogdan Wyrobek i wielu innych. Zawsze o 22, a właściwie około 23, rozpoczynały się koncerty,

sala huczała muzyką i aplauzem nadkompletu publiki. Kończyło się to późną nocą, a miasto komentowało imprezę przez wiele dni. Krytyczna była prasa, krytyczni księża, krytyczne władze, ale ludzie wiedzieli swoje. Tymczasem nieśmiało przebijało się nowe. Kino remontowano, wymieniano fotele (nowe były tak samo niewygodne), usprawniano wentylację, w poczekalni pojawiły się krzesła, zmieniano wystrój. Bilety drożały, rosła konkurencja telewizji, zniknęły inne częstochowskie kina, a "Wolność" trwała. Aż do teraz.

*Zbislaw Janikowski*

**60 lat w służbie  
Polyhymni**

**Andrzej Grądzman**

**Jubileusz filharmoników**



Pełnię dorobku wraz z osiągnięciami naszych Filharmoników zawarto już w publikacjach z racji 50- i 55-lecia działalności Orkiestry.

Dzisiaj, na wstępie, godzi się wspomnieniem obdarzyć sam jedynie początek tej placówki. 27-osobowy zespół muzyczny utworzony został w grudniu 1944 roku. Stanowili go instrumentalisci poznańscy i warszawscy, którzy w mrocznych latach okupacji hitlerowskiej i po powstaniu warszawskim znaleźli tu schronienie. Dołączyli do nich także miejscowi muzycy. Zespół ten stworzył i przygotował niestrudzony prof. Edward Mąkosza.

Już 7 stycznia 1945 r. miał miejsce pierwszy koncert symfoniczny w sali Straży Ogniowej. Poprowadził go dyrygent Opery Warszawskiej, Jerzy Sillich. Solistami byli: Halina Mickiewiczówna – sporan i Henryk Paciejowski – bas. Poza ariami i pieśniami, program zawierał także *Symfonię "Niedokończoną"* Franciszka Schuberta. Na koncert ten – o dziwo – oficjalną zgodę wyraziły niemieckie władze okupacyjne Częstochowy, które po następnych dziewięciu dniach zmuszone były w popłochu pożegnać się z miastem na zawsze.

Za oficjalną jednak datę pierwszego koncertu w wolnej już Częstochowie przyjmuje się 4 lutego 1945 r. Nasz zespół był więc drugą orkiestrą na terenie kraju, która – po Orkiestrze Lubelskiej – podjęła działalność muzyczną. Koncert ten, połączony z recytacjami poezji polskiej, poprowadził w sali Teatru

Miejskiego Edward Mąkosza. Uczestniczyli w nim m.in.: Stanisław Jarzębski – skrzypce, Sergiusz Nadgryzowski – fortepian, Irena Carero – pieśni i piosenki oraz aktorzy: Wacław Ścibor, Artur Kwiatkowski i Janina Łukowska. Wykonano utwory Henryka Wieniawskiego, Fryderyka Chopina i fragmenty poetyckie.

Ze wspomnieniami wędruję dzisiaj przez minione sześćdziesięciolecie muzyczne jako niezłomny częstochowianin, przypominając sylwetki ludzi, którzy w szczególnie wyrazisty sposób utrwaliли się na zawsze w mej pamięci.

Oto sam twórca orkiestry – prof. Edward Mąkosza. Do końca swych dni pełen energii i zapału. Kompozytor i folklorysta, wokalista, organista, kapelmistrz i dyrygent, działacz społeczny, a nade wszystko pedagog i wychowawca wielu pokoleń młodzieży muzycznej, i tej ze szkół ogólnokształcących w latach międzywojennych, i po wojnie.

Wśród pierwszych powojennych członków orkiestry wyraźnie zaznacza się postać prof. Henryka Waghaltera – wiolonczelisty, pedagoga Konserwatorium Warszawskiego i kompozytora. Niezwykle dystyngowany starszy pan – ozdobiony muszką, kapeluszem panama i laseczką – zwykł był w chwilach wolnych siadywać na ławce w Alejach i z upodobaniem przyglądać się spacerowiczom, a szczególnie bardziej urodziwym reprezentantom płci nadobnej. Często zaglądał też do kawiarenki Ogniska Polskiej YMCA w III Alei, by rozegrać partię szachów lub pogawędzić z ymciarską młodzieżą przy filiżance kawy.

Leon Jelonek – skrzypek, a po ukończonych studiach w katowickiej PWSM – dyrygent zespołu. Towarzyszył orkiestrze od samego początku, by w latach siedemdziesiątych, uzyskawszy stopień docenta, zająć się pedagogiką muzyczną w tutejszej WSP i w takiej samej uczelni kieleckiej. Miał szczęście poprowadzić koncert orkiestry podczas otwarcia gmachu Filharmonii

w 1965 r. Jeszcze na kilka miesięcy przed śmiercią wystąpił na swym jubileuszowym koncercie z orkiestrą, z solistą Januszem Olejniczakiem przy fortepianie. Pozostawił po sobie cenną pamiątkę – wydaną pośmiertnie książkę *Z dziejów życia muzycznego w Częstochowie*.

Janina Skoromowska-Seifried – skrzypaczka, po ukończeniu Warszawskiego Konserwatorium Muzycznego w latach międzywojennych – po wojnie osiedliła się w Częstochowie. Niedościżona dotąd rekordzistka – koncertmistrzyni naszej orkiestry, świetnie spełniająca swą powinność artystyczną nieprzerwanie w latach 1950 – 1978.

Wciąż rysują się w pamięci sylwetki pierwszych i wieloletnich instrumentalistów: Zenona Dziuka – perkusista i działacza związkowego, oboisty Henryka Szymańskiego, skrzypka Mieczysława Chorzelskiego, kolejnego ze skrzypków Karola Sztajerowskiego, wiecznego wesołka i kawalarza. Dołączył do nich Alfred Stępniewski – wieloletni waltornista. Służył wiernie muzyce przez całe dziesięciolecia, kierując także do ostatnich godzin swego życia zespołem Kapelistów Jasnogórskich. Po swym wieczorze jubileuszowym, który miałem zaszczyt poprowadzić, zadyrygował jeszcze po raz ostatni *Intradą* na Apelu Jasnogórskim w Kaplicy. Po kilku dniach odszedł – już na zawsze.

Mijały pierwsze lata działalności Orkiestry, której siedzibą było wówczas dawne kino “Świt” u zbiegu ulic Dąbrowskiego i Jasnogórskiej. Po odejściu dyrygenta Jerzego Sillicha do Opery Śląskiej w Bytomiu, jego miejsce zajmowali kolejni dyrektorzy i dyrygenci, goszczący w Częstochowie zazwyczaj nie dłużej niż przez dwa, trzy lata. Na tym tle upamiętnia się sylwetka młodego radomszczanina, Krzysztofa Missony, który po ukończeniu studiów muzycznych w zakresie dyrygentury objął kierownictwo Orkiestry w 1953 r. Pełen temperamentu i muzycznej wyobraźni – postawił zespołowi pierwsze ambitne zadania wykonawcze. Między innymi przygotował i wykonał po raz pierwszy wraz z chórem i przyjezdnymi solistami wielkie *Requiem* W. A. Mozarta. Uznał zarazem, że miejscem wykonania nie może być mała i ciasna własna salka koncertowa, lecz jedynie właściwe przestronne wnętrze świątyni - Katedry Częstochowskiej i Bazyliki Jasnogórskiej. Zapłacił za to pozornie “gorzką” cenę, zmuszony do opuszczenia Częstochowy w 1958 r. Przed tym jednak pozostawił po sobie cenny i trwały ślad – zamysł budowy okazałego gmachu Filharmonii na miejscu wypalonych przez hitlerowców murów zabytkowej synagogi żydowskiej. Jakże wymowne

było spotkanie z profesorem Akademii Muzycznej w Krakowie Krzysztofem Missoną po następnych trzydziestu latach, gdy w sali koncertowej wymarzonej przez siebie filharmonii poprowadził uroczyście owo *Requiem*. Resztkami już swych ziemskich sił, bo po paru miesiącach zegnaliśmy go na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

W roku 1959 orkiestrę objął w swe posiadanie Czesław Orsztynowicz. Ten w pełni wykwalifikowany artysta i doświadczony dyrygent, zajął się od początku niedostatkami wykonawczymi członków zespołu, usiłując poprawić i kadrowo udoskonalić stan ówczesnie istniejący. Umiejętnie nadano temu negatywny charakter ideowo-polityczny, skutkiem czego Czesław Orsztynowicz musiał opuścić nasze miasto, obejmując posadę dyrektora Orkiestry Symfonicznej w Olsztynie. Powrócił ponownie do Częstochowy, gdzie jednakże zajął się wyłącznie kształceniem muzycznym w Zespole Szkół Muzycznych oraz pedagogiką w ówczesnej WSP.

W drugim pokoleniu instrumentalistów odżywa w mej pamięci postać Zdzisława Serdaka. Był to tytan pracy, nie tylko w swym solidnie wykonywanym zawodzie skrzypka. Był nauczycielem przedmiotów muzycznych w szkolnictwie, a do tego reprezentacyjnym obrońcą w zespole piłkarskim RKS “Skra”, a następnie zawodnikiem i trenerem drużyny piłkarskiej KS “Barbara” z dzielnicy podjasnogórskiej, którą doprowadził do wrót III ligi piłkarskiej. Na rowerze przemierzał codziennie dziesiątki kilometrów, pozostawiając w garderobie frak, a odziewając dres sportowy. Był wspaniałym człowiekiem i uczynnym kolegą.

Nadeszły lata kierownictwa Orkiestry sprawowane przez Zygmunta Szczepańskiego (1966-1972). Tu następuje wyraźne wzbogacenie repertuaru wykonawczego zespołu, który wraz ze swym szefem sięga po pozycje znane na największych estradach (*IX Symfonia* L. van Beethovena, *Harnasie* Szymanowskiego, symfonie Brahmsa i Schumanna itd.). Szczepański wywalczył również środki pieniężne na powiększenie instrumentarium, zaopatrując orkiestrę w harfę, celestę, instrumenty perkusyjne i instrumenty dęte – wszystkie znakomitych firm. Zagorzały patriota lokalny środowiska muzycznego swym entuzjazmem pozyskał miejscowych sponsorów, a ze zdobytych tym sposobem środków zakupił m.in. nowy, wspaniały fortepian koncertowy Steinway. Miał Szczepański wszakże jedną cechę, którą w tamtych latach nazywać by trzeba wadą. Walił prosto w oczy prawdę, nie licząc się ze skutkami. W rezultacie i on pożegnać się musiał z Częstochową, osiadając w szczecińskim Teatrze Muzyki, gdzie pozostał już do końca swego życia.

Z tamtych lat pamiętam i z przyjemnością dostrzegam do dzisiaj wiolonczelistkę Elżbietę Norberciak (z mariażu - Szymczak). Świeżo upieczona absolwentka Szkoły Muzycznej, którą ukończyła u prof. Tatarczyka, podjęła w 1966 r. pracę w orkiestrze. Uśmiechnięta i wiecznie urodziwa Ela zasiada dotąd na swym miejsc u przy pulpicie. Państwo Szymczakowie stanowią klasyczny przykład muzycznej rodziny. Mąż – Stefan Szymczak wzbogaca trio fagotowe. Oboje z powodzeniem wykształcili muzyczne i swe dzieci. Syn Michał – czwarte już pokolenie filharmoników – zasiada wśród skrzypków, a córka Aleksandra ukończyła studia pianistyczne z najlepszymi nadziejami na artystkę wielkiego formatu.

Orkiestrę, podniesioną do rangi Państwowej Filharmonii, przejął w 1972 r. Zygmunt Hassa. To kolejny rekordzista wytrwałości na swym stanowisku. Kierował placówką przez 18 lat. Bardzo pracowity, uformował orkiestrę na miarę zespołu w pełni profesjonalnego, o nieograniczonych już możliwościach repertuarowo-wykonawczych. Znany z tego, że w swej pracy artystycznej nie chciał i nie lubił błyszczeć. Po prostu rzetelnie realizował swe obowiązki, dbając o jakość wykonywanej muzyki. Czyżby to miało zdecydować, że w 1990 r. pożegnał Orkiestrę, przenosząc się do Niemiec i tam kontynuując pracę artystyczną i pedagogiczną?

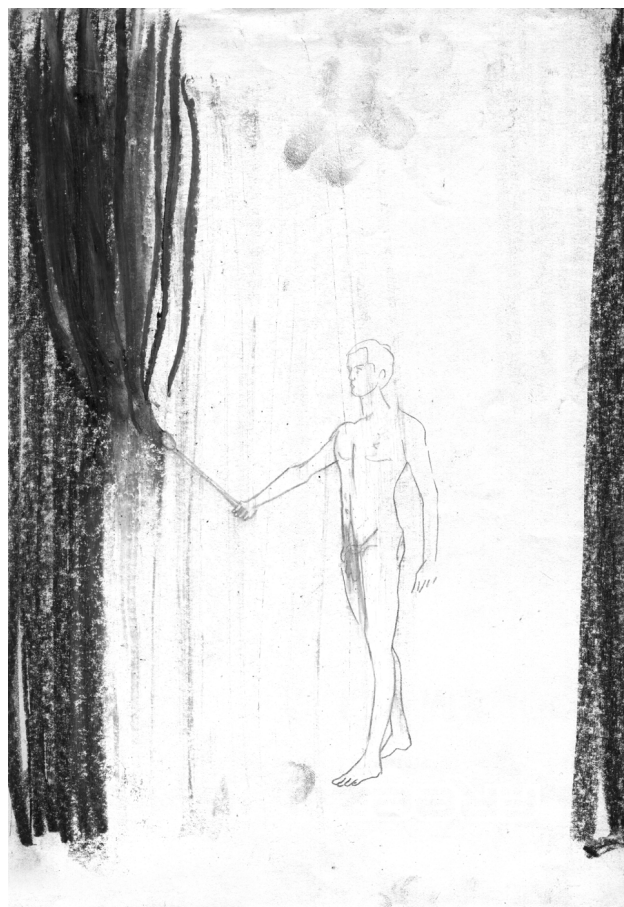
Nadeszły lata Jerzego Koska, zapamiętanego jako znakomitego realizatora dzieł oratoryjno-kantatowych, a po nim i dotąd – kierownictwa artystycznego Jerzego Swobody.

Coś ciekawego wydarzyło się także w strukturze kierowniczej częstochowskiej placówki muzycznej. Być może jest to udane przeniesienie form organizacyjnych znanych w krajach zachodnich Europy i w USA. Po raz pierwszy, w roku 1990, naczelnym dyrektorem Filharmonii Częstochowskiej mianowany został nie muzyk lecz organizator i ekonomista w osobie Ireneusza Kozery. Po nim funkcję tę objął - miłościwie nam dotąd panujący - Leszek Ferdynand Hadrian, z owej przyczyny mianowany przeze mnie Leszkiem XVI, co pochodzi z zajmowanej dotąd liczby tych stanowisk. Także nie muzyk czy dyrygent lecz prawnik i ekonomista, doświadczony organizator muzyczny, sprawdzony już wcześniej na podobnym stanowisku w Filharmonii Lubelskiej. W takim układzie, dyrektor artystyczny w osobie Jerzego Swobody dysponuje oczekiwanym komfortem pracy i działalności muzycznej wspólnie z zespołem. Efekty są widoczne także przy przygotowaniu i prezentowaniu obecnego jubileuszowego sezonu 2004/2005, w sposób wielce

satisfakcjonujący słuchaczy i utrzymujący zespół w dobrej kondycji wykonawczej. Zaproszenia naszej orkiestry na tournée do krajów europejskich i poza granice Europy są tego doskonałym potwierdzeniem.

Na zakończenie pozostawiłem w swej nie tylko pamięci, lecz i terażniejszości, jedną jeszcze wspomniała postać. Jest nią Dionizy Krzepczak – od samego prawie początku służący swą wiedzą i umiejętnościami ekonomicznymi częstochowskiej orkiestrze na stanowisku dyrektora administracyjnego. Na nim to spoczął olbrzymi ciężar nadzoru i odpowiedzialności w latach budowy dzisiejszego obiektu Filharmonii, tak dobrze służącego miastu oraz nam – melomanom. Powierzone mu zadania zawodowe i społeczne zrealizował z pełnym powodzeniem. Dziś, gdy spotykamy się z panem dyrektorem na każdym koncercie, zajmując swe ulubione i te same od lat miejsca w fotelach na balkonie sali koncertowej – nie musimy już dyskutować wiele. Wystarczy parę słów. Pamiętamy i wiemy zawsze to samo.

*Andrzej Grądzian*



Rys. Jacek Łydzba

30 lat pracy twórczej

## Chciałem być perkusistą

rozmowa

z Waldemarem M. Gaińskim, poetą

*Skąd się wziąłeś w Częstochowie?*

Przyjechałem z Warszawy w 1986 roku, w listopadzie.

*Z powodu kobiety i konkursu poetyckiego im. Poświatowskiej?*

Tak.

*Zanim zostałeś uznanym poetą, podobno chciałeś być znanym perkusistą...*

Byłem perkusistą w różnych zespołach. Ale gdy kiedyś na festiwalu Jazz Jamboree usłyszałem, jak grają inni, taki na przykład Buddy Rich, pomyślałem, że nigdy tak grać nie będę. W Warszawie, wiesz, robiłem różne rzeczy. Byłem np. maszynistą sceny w teatrze, przez 3 lata sanitariuszem w pogotowiu ratunkowym. Dziecko miałem akurat w drodze, Dorota, moja pierwsza żona, studiowała na ASP, więc musiałem znaleźć taką pracę, żebym miał dużo wolnego czasu i poszedłem pracować do pogotowia. Zaocznie studiowałem polonistykę. Pracowałem też w kwaciarni "Bella Rosa". To była jedyna taka kwaciarnia w Warszawie, skąd mogłeś komuś kwiaty wysłać. Miałem służbową syrenkę i rozwoziłem te kwiaty...

*W minionym roku obchodziles jubileusz pracy artystycznej. Debiutowales w znakomitym czasopiśmie literackim „Nowy Wyraz” w roku 1974. W Częstochowie od lat funkcjonujesz w obiegu medialnym, pracowales jako dziennikarz w kilku pismach, jesteś człowiekiem, którego się widuje na rozmaitych imprezach. Znany jesteś jednocześnie z kilku cech nietypowych dla wrażliwego poety, na przykład z ciętego języka, z dużej dozy zadziorności, a także i z tego, że co jakiś czas nagle znikasz i się nie pokazujesz...*

Mnie się wydaje, że tak naprawdę jestem - może w to trudno uwierzyć - bardzo pokornym człowiekiem. W twórczości, ale w życiu też. W swoim życiu spotkałem mnóstwo wspaniałych ludzi: pisarzy, muzyków i tzw. ludzi prostych a mądrych. Wiele im zawdzięczam, bardzo ich szanuję. Myślę że niektórzy z nich też mnie lubią. Jak może wiesz, nie zawsze prowadzę higieniczny tryb życia, w sensie jakiegoś tam uporządkowania. Tak wielu moich kolegów po prostu nie doczekało, coś tam się stało po drodze... Mnie się jednak udało.

Za to jestem wdzięczny i Panu Bogu i kilku ludziom. Teraz spłacam ten dług.

*To zaskakujące, co mówisz. Widzisz siebie jako człowieka pokornego, wyciszonego?*

Pokora tak, co wcale nie znaczy, że jak trzeba, to czasem komuś nie przy... To chyba normalne.

*Ale wewnętrznie jesteś poukładany?*

Może tak nie do końca. Staram się. Bywa czasem, że naprawdę sam ze sobą mam kłopoty. Ale wiesz, mam już 52 lata i czasem po prostu mam chandrę. Krysia o tym wie, po prostu nie wychodzę przez kilka dni z domu.

*Czy własne doświadczenia życiowe są Twoim materiałem literackim? Twoje wiersze są bardzo emocjonalne. Można odnieść wrażenie, że to są historie przeżyte. Które z Twoich doświadczeń miały wpływ na to, co piszesz?*

Wszystko może być materiałem literackim w zasadzie, tylko po prostu trzeba umieć patrzeć i wybierać z życia to, co jest naprawdę ważne. Bardzo często sprawy, o których piszę, w jakiś tam sposób musiałem dotknąć. Jakoś musiałem albo bezpośrednio dotknąć, albo w dużym stopniu utożsamić się z nimi. Wiesz, ja miałem mnóstwo doświadczeń. Na przykład, pracując w pogotowiu, byłem przy wybuchu Rotundy, uczestniczyłem w tej akcji ratunkowej. Naprawdę, dużo było takich rzeczy.

*A inne doświadczenia, powiedzmy, niezawodowe? Kobiety? Masz już trzecią żonę...*

W tej chwili jestem pięć lat z kobietą, którą trochę w życiu za późno spotkałem. Krysia też jest po rozwodzie. Ona ma dwoje dzieci: Asia ma 15 lat, Adaś 13. Adaś to mnie od razu zaakceptował, natomiast Asia pamiętała swojego ojca i rok mnie olewała, ja byłem bardzo cierpliwy. I teraz jest w porządku. No, nie są to moje rodzone dzieci, ale są wspaniałe...

*W konkursie im. Poświatowskiej uczestniczyłeś jako autor i jako juror. Wymyśliłeś i zorganizowałeś Turniej Jednego Wiersza, prowadziłeś rubryki poetyckie w tutejszych gazetach, masz zapewne całościowy pogląd na młodą poezję w Częstochowie. Czy da się wyłonić jakieś wspólne cechy twórczości naszych młodszych poetów?*

Częstochowa nie jest takim dużym miastem, więc trudno nie znać tych ludzi. Wydaje mi się, że po pokoleniu moim następnym pokoleniem, które jakoś wyartykułowało, zaczęło mówić własnym głosem, to było chyba to pokolenie "bruLionu". Generalnie to jest tak, że to są bardzo często ludzie bardzo dobrze wykształceni, erudyci, ale nie wszyscy mają tę iskrę bożą. Młodzi poeci w Częstochowie, to na pew-



no nie jest jakaś formacja intelektualna, są to pojedynczy, zdolni ludzie - Marcin Janocha, Mateusz Szkop. Myślę, że jeszcze jest za wcześnie o tym mówić. Na pewno nie jest to jakaś formacja pokoleniowa, intelektualna. Nasze pokolenie miało przeżycie "Solidarności". Oni byli albo za młodzi, albo jeszcze nawet w ogóle nie było ich na świecie. Myślę, że jest to sprawa indywidualna, bo w zasadzie nigdy nie wiadomo dlaczego, jaki jest pretekst, że człowiek zaczyna pisać. Kiedyś Bogdan Zadura powiedział, że są intelektualiści i barbarzyńcy. Ja jestem raczej za barbarzyńcami

*Gdy się słucha dzisiejszych młodych poetów, często można dojść do wniosku, że niedawno jeszcze czytelne dla naszego pokolenia pewne symbole kulturalne, są dla nich kompletnie niezrozumiałe. Czy to brak ciągłości kulturowej, czy może źródła inspiracji leżą dziś gdzie inądziej? Ty zawsze byłeś admiratorem Herberta, nawiązywałeś do swoich mistrzów, np. Villona.*

Także do Rimbauda, Ginsberga i beatników. A Herbert był to najlepszy polski poeta współczesny. Długo nie będzie chyba nikogo takiego. Herbert nigdy się nie skurwił. Czerpał z kultury śródziemnomorskiej. Ci młodzi ludzie, oni po prostu muszą dojrzeć, to jest chyba naturalny proces. Oni kiedyś dorosną do Herberta, dorosną do Elliota, dorosną do wielu rzeczy. Ci, którzy rzeczywiście wytrzymają to wszystko, wytrzymają to ciśnienie wewnętrzne, będą pisać. To jest chyba naturalna kolej rzeczy. Wiesz, ja mam taką teorię... Może się mylę, ale uważam, że tak jak Latynosi mają najlepszą prozę na świecie, tak my i Amerykanie mamy najlepszą poezję.

*Twoja ostatnia książka wyszła w roku...*

Dziewięćdziesiątym siódmym. Ja nie jestem zwolennikiem tego, żeby często wydawać. Ale dwie książki mam już gotowe, leżą w teczkach. Wyjdą jak najszybciej, *Wiersze zebrane* na pewno w tym roku.

*Próbowałeś działalności komercyjnej, pisałeś piosenki, które miały wzięcie. Ale wybrałeś inną drogę...*

Bo mi się za łatwo pisało piosenki, choćby z Jurkiem Filarem. Z Jurkiem mieliśmy taki program, jeździliśmy z tym po Polsce przez parę lat. Nazywało się to *Na peronie wiersza*. Było tam trochę moich tekstów, Jamesa Jonesa, Romana Śliwonika i in.

Napisałem też monodram o Włodzimierzu Wysockim. Ja go zresztą miałem przyjemność poznać osobiście. W osiemdziesiątym roku, chyba dwa miesiące przed śmiercią przyjechał Teatr na Tagance z dwiema sztukami: *Dobry człowiek z Seczuanu* i *Hamletem*. Jeszcze z pierwszą żoną na tym byłem. Wysocki już był

wtedy chory, w *Dobrym człowieku*... grał dubler, ale na *Hamleta* przyjechał. Było kiedyś takie pismo *Student* i tam parę jego wierszy przetłumaczyłem, weszliśmy za kulisy. Dwie baby pilnowały garderoby, no i te baby nie chciały nas wpuścić, więc ja się rozpedziłem i wpadliśmy do tej garderoby, przewróciliśmy się... Wysocki podniósł się, zobaczył, co się dzieje, ja mu krzyknąłem, że *pierewoditel*, że *jewo stichi* – on: *podnimajties sadities* i wygonił te baby. Zaczęliśmy gadać, on chciał usłyszeć, jak jego wiersz brzmi po polsku. Niedługo później, pamiętam, wróciliśmy z Bieszczad, jakoś w nocy dotarliśmy, włączyłem radio i mówią, że umarł Włodzimierz Wysocki...

*Gdybyś miał ocenić swój dorobek życiowy, zawodowy, ale przede wszystkim twórczy, to byś powiedział, że zrobiłeś tyle, ile myślałeś, że zrobisz? Jubileusz 30-lecia twórczości to dobry moment na podsumowanie.*

Myślę, że za mało zrobiłem. Myślę że za mało. W której dziedzinie? W każdej. Na pewno mogłem jeszcze trochę bardziej niektórym ludziom pomóc. Czasem moja córka się śmieje, bo kiedyś, jak była małutka, obiecałem, że napiszę książkę dla dzieci. Nie napisałem, córka ma teraz 27 lat. Ale napisałem powieść. To znaczy, ja ją ciągle, ciągle szlifuję. Nazywa się to *Na Szlaku*. Drukowałem kiedyś fragmenty. Piszę, siedzę nad tym już kilka lat. To jest współczesna powieść o takich chłopakach, którzy albo są artystami, albo próbują być. Na Szlaku to się w Warszawie nazywa ten kawałek: Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, do Alei Ujazdowskich. Tam było mnóstwo knajp, "U Hopfera", "Staropolska", "Harenda"... Jak się wyszło na Szlak, to się zawsze tam kogoś spotkało, pogadało...

*Dziękuję za pogadanie w Alejach.*

**M.P. Rawinis**



Fot. Archiwum

## TURNIEJE JEDNEGO WIERSZA

**Ireneusz K. Korpyś**

### Łańcuch pokarmowy

był moim przyjacielem  
uratował mi życie  
uwożąc na grzbiecie  
rannego z pola walki

w jednej z kampanii wojennych  
zostaliśmy obłożeni w twierdzy

po tygodniu skończył się prowiant

zjadłem przyjaciela

nie chcę być niewdzięczny  
ale miał twarde i niesmaczne mięso

**Ewa Piwowarska**

\* \* \*

Druhu mój miły!  
Bywało,  
mnie, sokoła, jednym skinieniem ręki  
wyprowadzałeś  
z koła diabelskiej maszynerii pustych lotów,  
najczystsza łzą karmiłeś, by nie odlecieć  
dalej  
nad długość ramienia,  
albo też,  
co polecam pamięci twej szczególnie,  
u nóg wierny, jak mówią,  
dozgonnie,  
rozpalałeś kominek winem,  
a czasem i ostatnią wódką.

Bardzo to sprzyja rajskim jabłuszkom.

Że, doprawdy, zdziwić się wypada,  
ku ucieście czyjej  
ta walka kogucia w zimnym krużganku,  
o ślepe ziarno  
na śmiertelnie białym obrusie.

**Marta Smoleń**

\* \* \*

Bóg umarł  
- Nietzsche.

Nietzsche umarł  
- Bóg.

Październikowa runda Turnieju Jednego Wiersza o Nagrodę CARA rozegrała się 27 października w sali OPK "Gaude Mater", a sam Turniej dopisano – nieco sztucznie – do trwających właśnie w naszym mieście II Dni Kultury Chrześcijańskiej. Dopisała publiczność i uczestnicy, którzy w turniejowe szranki stawili się w liczbie 23. Tym razem jurorzy dysponowali sumą 200 zł, albowiem tradycyjna nagroda została podwojona, gdyż w czerwcowej edycji TJW nagrody nie przyznano.

Październikowy Turniej oceniało jury w składzie: Waldemar M. Gaiński, Elżbieta Jeziorowska-Wróbel i Wiesław Leszczyński (przew.). Niestety, liczba uczestników i kibiców w żaden sposób nie przełożyła się na jakość tekstów. Zaledwie 4 utwory godne były miana wierszy. Jury postanowiło rozdzielić nagrodę w sposób następujący: I nagrodę (100 zł) otrzymał **Ireneusz K. Korpyś** za wiersz pt. *Łańcuch pokarmowy*, II nagrodę (40 zł) **Marta Smoleń** za utwór pt. *xxx (Bóg umarł...)*. Ponadto jury wyróżniło kwotami po 30 zł wiersze: *xxx (Druhu mój...)* **Ewy Piwowarskiej** oraz *Wizyta w ZK. Wiosna 2001* **Rafała Salamuchy**. (wmg)

**Rafał Salamucha**

### **Wizyta w ZK. Wiosna 2001**

ich oczy to były brudne kieszenie  
i czarne załzawione serca – były: właściwie  
nie klucz do pertraktacji a nienawiść.  
Popękał mur i jaskółcze pióra  
morderców. Hodują kokony jaskrawych erotyków,  
wgniecenii w ubrania pijące smołę dusz.  
Czuli nasz obcy, egzotyczny, nietrwały zapach.  
Języki odbijały się o  
brudne krawężniki warg. Papieros  
za papierosem. Zapałka za zapałką jak  
łamanie kości – jak wczorajsze gruchotanie  
jakiegoś małego rudzielca...

Listopadowa runda Turnieju Jednego Wiersza odbyła się 24 XI ub. r. W jury zasiedli: Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, Ryszard Sidorkiewicz (przew.) i dr Elżbieta Wróbel. Nagrodę w wys. 100 zł zdobył **Mariusz Kołodziejcki**, autor wiersza *Chwila myśli*. Wiersz publikujemy i jest nam szczególnie miło, ponieważ publikacja ta jest jednocześnie poetyckim debiutem prasowym pana Kołodziejckiego.

**Mariusz Kołodziejcki** jest małopolaninem, studiuje polonistykę w częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza.

**Mariusz Kołodziejcki**

### **Chwila myśli**

wskazówka zegara  
wpół kroku zamyślona  
przystanąła przed  
wystawą sklepową

gdzieś na bagnach  
głosów słowo ugrzęzło  
jak dąb w mule  
brukowanych dróg

podwijam kolana  
wspieram na nich głowę  
i nie zamierzam dalej  
iść przez mokradła

spoglądam nad jezioro  
skąd wzbiła się dzika  
kaczka myśli soczysta  
jak łacińska sentencja

i mija mnie autobus  
pełen koczujących  
w zaroślach  
myśliwych ludzi

już pustoszeje miasto  
wiatr ucisza drzewa  
i nim wskazówka drgnie  
padnie pierwszy strzał

## Konfrontacje Poetyckie

### Bilans Konkursu

20-21 listopada ub. r. odbywały się w Częstochowie doroczne Konfrontacje Poetyckie, podczas których ogłoszono wyniki XXVIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej.

782 zestawy wierszy rozpatrywało jury w składzie: Grażyna Borkowska (przew.), Leszek Engelking i Anna Janko. Obowiązywały dwie kategorie: debiut i po debiucie.

W tej pierwszej grupie I nagrodę (1500 zł) otrzymała Danuta Hein ze Świętochłowic, II (1000 zł) Magdalena Rudaś z Bydgoszczy, a III (500 zł) Mateusz Pakuła z Kielc. Ponadto przyznano trzy równorzędne wyróżnienia w postaci nagród rzeczowych, które dostali: Lech Kotwicz z Bielska-Białej, Rafał Kwasek z Częstochowy i Martyna Łapińska z Łap.

W "poważnej kategorii", po debiucie, I nagroda (1500 zł) powędrowała do Marty Eloy Cichockiej z Krakowa, II (1000 zł) otrzymał Jacek Dehnel z Warszawy. Nie przyznano III nagrody, natomiast dwie osoby – Katarzynę Bolec z Rzeszowa i Jolantę Stelmasik z Szadka w woj. łódzkim - wyróżniono nagrodami rzeczowymi.

Częstochowianie najbardziej jednak czekali na Turniej Jednego Wiersza, tradycyjnie towarzyszący każdej edycji Konfrontacji. Tym razem utwory 32 autorów oceniało jury w składzie: Krzysztof Czajkowski, Leszek Engelking i Tadeusz Piersiak. Tu zwycięzcą (I nagroda – 300 zł) okazał się Jacek Dehnel z Warszawy. Jury przyznało też trzy równorzędne II nagrody (a 100 zł), które otrzymali: Krystyna Kolompar z Częstochowy, Martyna Łapińska z Łap oraz Piotr Tarnowski z Częstochowy.

Gratulujemy, zwłaszcza częstochowianom, których wiersze zamieszczamy.

(wmg)

## Krystyna Kolompar

\* \* \*

... czas wszystko zmienia...

Złość i apatia stygną w kieliszkach.  
Pusta butelka konserwuje światło.  
W chlebie ślad noża zarasta głodem.

Na końcach palców zmarły wspomnienia.

12 IV 2003 r.

## Piotr Tarnowski

(matematyka demograficzna anno domini 2058)

żółte z żółtym, jeden  
choć i tak co piąty  
i coraz więcej  
śniade ze śniadym  
co najmniej dziewięć  
choć wielu może nie dożyć  
czarne z czarnym cztery  
ale niestety powłowa z AIDS

białe z żółtym żółtawe  
białe z czerwonym czerwonawe  
białe z czarnym czarne  
choć odrobinę mniej

a gdy białe z białym  
się zejdzie  
to co najwyżej  
pies

- i to nalepiej  
firmy SoNY

(...)





Projekt Jacek Łyczba

## KORDIAN

### “Kordian” czyli widmo Gombrowicza

*W spektaklu pani Bożeny Suchockiej mamy prawie wszystko: tekst, aktorów, interesującą scenografię, muzykę, reżyserię, kostiumy, światła, rekwizyty itd. Mamy więc cały teatr. Ale “Kordiana” nie mamy.*

Pani reżyser zapowiadała, że zamierza przedstawić “Kordiana” Juliusza Słowackiego bez wątków narodowo-wyzwoleńczych, a dać sztukę współczesną, o uniwersalnej wymowie. To bardzo ambitne zadanie, ponieważ dramat romantyczny - a takim właśnie jest “Kordian” - tylko z pozoru ma budowę luźną i nieskoordynowaną, jego konstrukcja jest precyzyjnie przemyślana, zwykle coś tu z czegoś wynika, coś po czymś następuje itd.

Prześledźmy trud adaptacji tekstu, polegający na wykreśleniu niektórych wątków, scen, postaci. W efekcie pozostały luźne fragmenty pierwszego, drugiego i trzeciego aktu, nie ma prologu i nie ma sceny finałowej. Nie ma Cara, Księcia Konstantego, Kuruty, nie ma scen ulicznych, a Kordian nie musi skakać przez bagnety. Nie pojawia się nawet Napoleon w opowieściach starego Grzegorza. To wszystko jest dobre dla formalnego odchudzenia sztuki, jednakże przy okazji tracimy istotną informację, gdzie i kiedy rozgrywa się to wszystko, w czym uczestniczymy. Śledzimy, na przykład, wspinał się na sceny spiskowe - dynamiczne, mocne, gwałtowne. Tyle tylko, że z powodu wykastrowa-

nia tekstu z przodu sztuki, nie wiadomo, po co bohater tak się męczy.

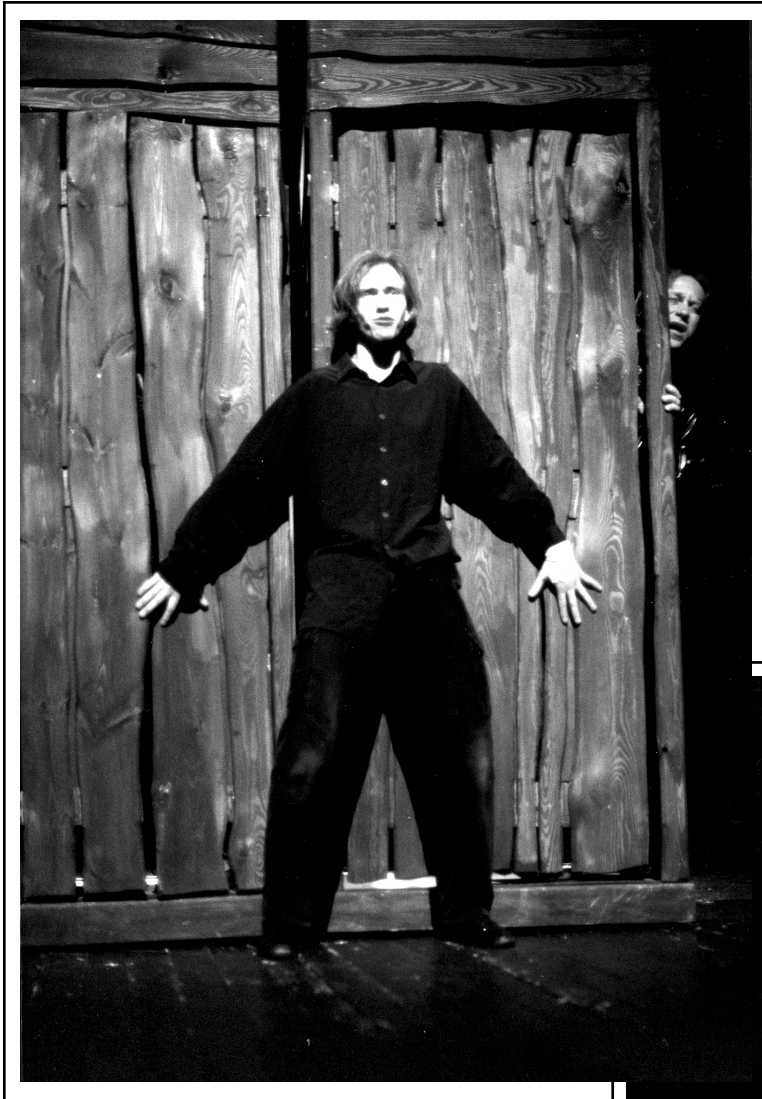
Niektóre sceny zostały wycięte, inne znacząco przebudowane. W oryginale Papież bawiący się z papugą, to scena mająca obrazować obojętność świata wobec cierpień narodu (“niech Polacy się modlą, czczą cara i wierzą”). Odczytywanie tej sceny w konwencji kabaretowej (gry duchownego z ministrantem) stanowi zupełne zaprzeczenie zamysłu autora. Z wielkiej sceny Słowackiego zostaje epizod, opisany w brukowej gazecie. Wycinając ważne osoby dramatu, pełnymi garściami dorzucono nowe. Po scenie chodzą więc i biegają dzieci, obecne prawie przez cały spektakl, niczym w lunaparku.

To dobra okazja, żeby zastanowić się nad granicami ingerencji reżysera w tekst sztuki. Jak bardzo można okroić znane dzieło, czy tekst można pozbawić początku i zakończenia, przenieść akcję na zupełnie inne płaszczyzny? Oczywiście, że można. Powstają wtedy wariacje na temat dramatu danego autora. Inscenizacja Bożeny Suchockiej mocno przypomina pracę Adama Sroki w Radomiu (z marca b.r). Tam nazywało się to “Panopticum strachów polskich na motywach dramatu J. Słowackiego”.

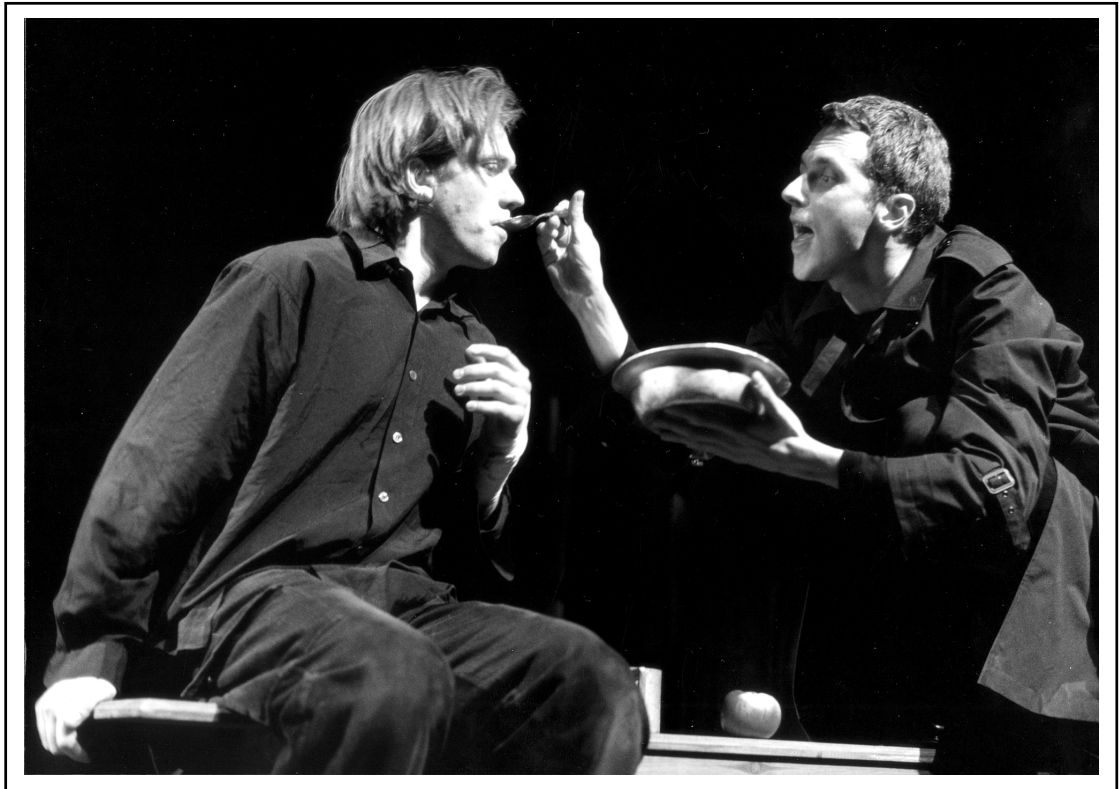
Inscenizacja Bożeny Suchockiej “Kordianem” raczej nie jest i próżno pocieszać się, że częstochowski teatr ma w repertuarze klasykę. Klasyka jest bowiem klasyką dlatego, że przenosi przez pokolenia pewne pojęcia i wartości. Słowacki w “Kordianie” polemizuje z Mickiewiczem, mówi o powstaniu, o Polsce i o podobnych ważnych sprawach, jak to w dramacie romantycznym. Jeśli więc w inscenizacji odступujemy od podstawowych założeń autora, wystawiamy inną sztukę. Częstochowski spektakl wypadałby zdecydowanie lepiej, gdyby nie nazywano go “Kordianem”, ale gdyby nosił tytuł “Wypiski z Kordiana (niektóre)”.

A może chodzi o to, żeby przez nowoczesne odczytanie starego tekstu przybliżyć go do młodego widza? Jeśli jednak ze sztuki Słowackiego wyrwiemy patriotyzm, ofiarę dla kraju, młodzieńcze poświęcenie, to niewiele nam zostaje.

Rzecz nie leży w inscenizacji. Że starego Grzegorza gra dość młody aktor, nie dziwi. Miewaliśmy już Julię w wieku emerytalnym i kobietę - Hamleta. Rzecz nie w tym, czy Kordian wygłasza monolog na drabinie (u Hanuszkiewicza), czy na szafce do butów (u Suchockiej). Ważne, żeby go odpowiednio wygłosił. Monolog na górze Mont Blanc to wielkie zadanie aktorskie. Tekst porównywalny - co do ekspresji i trudności dla aktora - z Wielką Improwizacją, w częstochowskiej inscenizacji wypada blado. Raz, że aktor myśli tylko, jak nie spaść z owej szafki na buty. Dwa, że mówi bez sensu o “budzeniu ludów” i “wkładaniu dzied”,







*Fot. Piotr Dlubak*

gdy nie wiemy, z jakiego powodu miałyby się tym interesować. A po trzecie - podobnie jak i w innych partiach tekstu - Nikodem Kasprówic artykułuje nie dość wyraźnie. Tekst bywa niesłyszalny, dykcja pozostawia to i owo do życzenia. Rola Kordiana jest jedną z najuciążliwszych w polskim dramacie, bo język Słowackiego jest bardzo trudny, znacznie trudniejszy niż u Mickiewicza. A i sam Kordian jest stworem mocno skomplikowanym - to mimoza, eksplozja i płomień w jednym. To bohater w rozwoju, od młodzieńczych rozterek na temat sensu życia, przez przejęcie się idea, po dorosły bunt aż do bohaterstwa. Kordian to w żadnym razie nie rozmiękczonego narkotykami pacjenta psychoanalizy, nie mogący się zdobyć na czyn, to raczej przedstawiciel generacji w kraju, gdzie zawsze zostaje "smutne pół rycerzy żywych" (i wtedy, i teraz).

Nieważne, czy chodzi w dzinsach. Kostiumy współczesne nie dziwią, dziś to żadna nowinka. Adam Łoniewski, niczym filmowy Edi, zbiera złom w Londynie, niech będzie. Budki telefoniczne, czy może kabiny przebieralni na plaży (bo chyba nie przenośne toalety?) jako podstawa scenografii Marii Kanigowskiej, niech będzie, szczególnie, że tak sprawnie wirują w szalonym tańcu. Ale co z tą nieustającą konsumpcją? Małgorzata Marciniak (kilka ról, w tym spiskowiec!) co i raz spożywa dary Boże, Adam Hutyra serwuje w więzieniu kaszkę mannę, a Sebastian Banaszczyk (Szatan) zjada jabłko (czerwona kosztela? kortland?).

Sprawa nie w kostiumie i rekwizytach, ale w treści, w znaczeniach, w emocjach. Szekspir w realiach XIX wieku (Branagh) albo we współczesnych (Wajda) brzmi doskonale, gdyż mówi o sprawach nieprzemijających.

Jak się ma nasz "Kordian" do "Kordiana" Słowackiego? Zróbmy eksperyment. Gdyby z "Makbeta" wyciąć rozmaite naleciałości i konteksty historyczne, np. zabójstwo króla Duncana, co zostaje? Jakaś kobieta, co chodzi, pociera ręce i męczy się bez sensu. A jak męczyłby się Raskolnikow, gdy reżyser kazał mu grać tylko karę, bez wcześniejszej zbrodni! Kordian męczy się jeszcze bardziej, i nie wiemy, dlaczego. Trudno przyjąć punkt widzenia reżysera, że dramat Słowackiego znamy doskonale, więc nie musimy wystawiać go w wersji zbliżonej do napisanej przez autora.

Może to racja, że dzieło liczące już 170 lat, w nowej Europie wydaje się anachroniczne, nadmiernie polskie, i trzeba je koniecznie dostosować do nowej rzeczywistości. Tylko, czy wtedy jeszcze należy do jakiegokolwiek klasyki?

Element praktyczny. Młodzież podobno nie czyta lektur szkolnych. Pójdzie więc do teatru, gdzie zobaczy coś dość odległego od zamysłów Słowackiego i trochę

się zdziwi, gdy w szkole będą pytać o rzeczy, których na scenie nie ujrzy i nie usłyszy. Nie tylko ponadczasowej charakterystyki polityków, tak aktualnej i dzisiaj, ale nawet i owego "Pijcie wino, idźcie spać".

Dramat romantyczny nosi własną nazwę, ponieważ charakteryzuje się własnymi, wyraźnymi cechami. Jedną z nich jest tematyka, w skrócie mówiąc: narodowo-wyzwoleńcza. I choć od dawna mamy do czynienia z przemieszaniem się gatunków i rodzajów, czasem nie zaszkodzi przypomnieć, że teatr antyczny różni się od romantycznego, klasyczny od awangardy etc.

To, oczywiście, moje osobiste zdanie. Odniosłem wrażenie, że duży spektakl na dużej scenie Teatru im. A. Mickiewicza nie okazał się wielkim przedsięwzięciem i o tej inscenizacji nie będą mówić pokolenia.

Ponadto, kolejne premierowe spektakle na częstochowskiej scenie wydają mi się słabo zróżnicowane. Sposób realizacji "Kordiana" bardzo mocno przypomina mi realizację "Iwony" Gombrowicza. Wiadomo, Gombrowicz wielkim artystą był. Ale czy jego widmo musi ciążyć nad naszym teatrem?

*Marian P. Rawinis*



*Fot. Piotr Dhubak*



**Andrzej Kalinin**

## Letni festyn nad jeziorem

Niedziela, choć przez wielu uznawana za święto kościelne, dla mnie, marksisty i bezbożnika, była również dniem ulubionym. Gdy się bowiem człowiek naharuje przez cały tydzień, to właśnie w taki wolny od pracy dzień ma ochotę pospać dłużej i zwyczajnie poleniuchować. Polegiwałem więc sobie przy otwartym oknie swojego pokoju, rano był piękny, niósł z ogrodu zapachy ziół i dojrzewających jabłek, na stoliku obok mojego łóżka stało już śniadanko z bułeczkami i białą kawką w filiżance, gdy oto z tej pięknej błogości wyrwał mnie nagle dzwonek telefonu. W pierwszej chwili nie chciałem go odebrać, odwróciłem się nawet plecami, ale żona wiedzioną wrodzoną jej ciekawością podniosła słuchawkę w sąsiednim pokoju.

Miała przestraszyć w oczach, kiedy mi ją podawała.

- Milicja do ciebie - wyszeptwała z przejęciem i zaraz dodała - coś się chyba złego wydarzyło.

I rzeczywiście. Telefonował komendant MO z pobliskiej Świdnicy z zapytaniem, czy obywatel, niejaki Edmund Sobol, to rzeczywiście mój szwagier - Bo wiecie, towarzyszu sekretarzu, on się za takiego podaje.

Zdębiałem. Co ten cholerny Muniek znowu narozrabiał? - pomyślałem patrząc na stojącą obok mnie żonę. Ona na pewno coś wie. Od dawna bowiem byłem przekonany, że moja żona jakimś siódmym zmysłem czuje, gdy coś niedobrego dzieje się z którymś z jej ukochanych braci. I tym razem miałem też rację.

- Z przykrością muszę zauważyć, towarzyszu sekretarzu - mówił do słuchawki komendant posterunku - że sprawa, niestety, wygląda poważnie. Wasz szwagier, będąc w stanie wskazującym na spożycie większej ilości alkoholu, zbezcześcił, że tak powiem, nasze proletariackie insygnia, czyli kilka czerwonych, robotniczych sztandarów. A stało się to publicznie, w biały dzień, na oczach setek młodych ludzi wypoczywających akurat na plaży, obok jeziora w Zagórzu Śląskim.

- Zaczekajcie tam na mnie - odpowiedziałem szybko komendantowi, bo sprawa rzeczywiście mogła mieć aspekt polityczny. - Na razie nic nie róbcie, zaraz tam u was będę - dodałem i odłożyłem słuchawkę.

Musiałem to szybko załatwić. Gdyby się ta kompromitacja rozniosła szerzej, to i mnie po linii partyjnej też by się dostało. Z mojej to przecież poręki Muniek

został prezesem Gminnej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska" i ja niejako za te nominację byłem odpowiedzialny. Ubierałem się pośpiesznie, a żonie kazałem natychmiast zamówić taksówkę. Żaden służbowy samochód nie wchodził tu bowiem w rachubę, ani też żaden znajomy z samochodem. Musiałem być czujny, działać dyskretnie. Może jeszcze całej sprawie da się ukrócić łeb.

Areszt w piwnicach "Powiatówki", gdzie wprowadził mnie dyżurny milicjant, pachniał nieświeżym powietrzem i takim zapieczonym w murach ludzkim potem. Na drewnianej pryczy pod oknem siedział Muniek w ubraniu pomiętym, sflaczałym, jakby z gardła wyciągniętym, na nogach miał tylko skarpetki, bez butów. Na mój widok natychmiast podniósł się z pryczy i z jakimś żalem w głosie zawołał:

- Co tak, kurde, długo? Już myślałem, że tutejsza milicja ma w nosie swojego powiatowego sekretarza. Doczekać się na ciebie nie mogłem - dodał i zaraz poprosił o papierosa. - Moje zamokły doszczętnie - dodał.

- Zaczekaj, pomału - odpowiedziałem - nie wiem, czy tu w ogóle wolno palić.

- Sekretarzowi czegoś nie wolno, co ty?

Usiadłem w nogach jego pryczy i wyciągnąłem z kieszeni pudełko "Giewontów". Wziął natychmiast jednego z nich, ręka przy tym wyraźnie mu drżała, a potem zapalił i kilka razy mocno zaciągnął się dymem.

- Wyciągniesz mnie stąd? - zapytał.

- Nie wiem. Komendant zarzuca ci zbezcieszczenie symboli proletariackiej władzy. Mówił nawet o prowokacji. A wrogów socjalizmu, jak wiesz, nie brakuje nam przecież.

- Bzdury gada, bzdury, jak to milicjant. Ja ci o wszystkim dokładnie, bez słowa kłamstwa, jak szwagier szwagrowi. Zobaczysz wtedy, że nie ma tu żadnej mojej winy.

- Szczerze?

- Szczerze!

- Bo muszę znać prawdę, Muniek. Tylko pod takim warunkiem będę z tobą rozmawiał. Potem dopiero zdecyduje, czy wyciągnę cię z tej chryi, czy spiszę na straty. I jeszcze jedno. Nie chwal się wszędzie tym naszym szwagrostwem, bo stawiasz mnie w głupiej sytuacji, jak dzisiaj na przykład. Twój wstyd, twoja sprawa. Mnie nie musisz w to płatać. Jasne?

- O jakim wstydzie ty mówisz, człowieku? To był zwyczajny wypadek przy pracy, a ściślej mówiąc, w drodze powrotnej z pracy do domu. Tak to trzeba rozpatrywać. Zmienisz zdanie z tym wstydem, gdy mnie do końca wysłuchasz.

- Dobrze, niech ci będzie, ale mów tylko o konkretach.

Kiwnął głową na znak zgody a potem spojrzął mi jakoś głęboko w oczy, jakby chciał tym sprawdzić moją z nim solidarność w interpretacji zaistniałych zdarzeń. Ja jednak starałem się być czujny. Gdzieś tam bowiem w podświadomości miałem już zakodowane, że z Muńkiem trzeba ostrożnie, bo jak nikt, i to w mgnieniu oka, potrafi zamienić kłamstwo w prawdę a potem sam w nią święcie uwierzyć.

Tymczasem on już opowiadał.

- Więc jakiś tydzień temu zadzwonił do mnie telefon i to z komitetu Wojewódzkiego Partii, że mam się w trybie pilnym zgłosić osobiście do gabinetu sekretarza KW, od spraw ideologii i propagandy. Byłem tym faktem kompletnie zaskoczony. Gdzie mnie – myślałem - skromnemu prezesowi malutkiej gminnej spółdzielni, do takiej audjencji u sekretarza, bądź co bądź, wojewódzkiej instancji. Pietra miałem jak cholera, mówię ci, całą niemal drogę łamałem sobie głowę o co w tym wszystkim chodzi, ale pojechałem Sekretarz tymczasem okazał się człowiekiem bardzo miłym i nad wyraz uprzejmym.

- Proszę bardzo, wejdźcie towarzyszu dalej, proszę bardzo - powiedział, gdy tylko sekretarka wprowadziła mnie do jego gabinetu. - I proszę, usiądźcie. Napijcie się może czegoś? Kawy, albo herbaty? A może kieliszeczek radzieckiego koniaku, co?

Podziękowałem jak umiałem najuprzejmiej i usiadłem skromnie na jednym ze skórzanych foteli. Sekretarz przez moment grzebał jeszcze w jakichś papierach a potem trzymając jeden z nich w rękę, usiadł obok mnie.

- No, więc sprawa jest taka, towarzyszu prezesie. Za dwa tygodnie w ośrodku sobotnio-niedzielnego wypoczynku nad jeziorem w Zagórze, którego wy, jako prezes miejscowej Gminnej Spółdzielni, jesteście gospodarzem, zorganizowany zostanie Ogólnopolski Zlot Młodych Przetwórców Pracy ze wszystkich jednostek PKP naszego kraju. Wiemy też, że na tę uroczystość przyjadą również towarzysze z Komitetu Centralnego z Warszawy. Chcą być, wiecie, w tym dniu blisko jakoś naszej młodzieży, poznać osobiście jej problemy i pragnienia. Taki zlot, wiecie, ogólnopolski i to u nas, na naszym terenie, to dla całego naszego aktywu wielkie wyróżnienie. Musimy się jak najlepiej pokazać towarzyszom z Warszawy. Jak myślicie, musimy?

- Oczywiście

- To dobrze. Dlatego wszyscy i my tu w instancji wojewódzkiej i wy tam w terenie, musimy dołożyć

wszelkich starań, żeby władze centralne i młodzież na tym zlocie byli z nas zadowoleni. Rozumiemy się, prawda, towarzyszu? To dobrze. W takim razie, do waszej tylko wiadomości powiem, choć te rzeczy z gruntu są tajne, że w tym zlocie, tam, nad waszym jeziorem, weźmie udział około 300 osób. Trzeba ich nakarmić, zakwaterować, zapewnić opiekę sanitarną i ideologiczną. My tam macie, jak wiemy, nad tym jeziorem dużą restaurację i spory, geesowski ośrodek wypoczynkowy. Wam więc, towarzyszu prezesie, jako gospodarzowi terenu, nasza egzekutywa wojewódzka zleciła organizację całego tego młodzieżowego zlotu. Wiem, wiem, martwicie się pewnie o koszty, co? Ale, to jest zmartwienie na potem. Jakoś te koszty później ukryjecie. Nie ma się co martwić na zapas. Gdyby nawet, słuchajcie, gdyby nawet jakaś lustracja zaczęła was się potem czepiać, to wiecie? Telefon tylko do nas. Innymi słowy, czynimy was, towarzyszu prezesie, odpowiedzialnym za cały ten zlot, pospołu oczywista z miejscową Gminną Radą Narodową i aktywnym partyjnym. Wy zaś, towarzyszu, traktujcie to jako wielkie, osobiste wyróżnienie. A jeśli dobrze się sprawicie, to nie bójcie się. Partia o was nie zapomni. Może nawet jakiś awans, kto wie?

Wychodziłem z tego komitetu jak w gorączce.

- No, co tak patrzysz – zwrócił się nagle w moim kierunku. - Takie ogromne zadanie na głowę mi włożyli Ty byś nie był podniecony takim zaufaniem? Przez całą powrotną drogę przyrzekałem sobie solennie, że wykażę się inwencją i pomysłowością w organizacji tego zlotu. Szanse na awans i uznanie towarzyszy z komitetu województwa miałem przecież w zasięgu ręki. A i tobie również chciałem pokazać, że potrafię coś sam, bez twojej, szwagrowskiej opieki.

Zamilkł teraz na chwilę, żeby zapalić zgasłego już papierosa. Chwilę gniótł go w palcach, kruszył tytoń i dopiero po kilku dymach zaczął opowiadać dalej.

- Po powrocie do swojego Geesu zaraz zabrałem się do roboty. Osobiście sprawdziłem restaurację i bary nad jeziorem, gdzie mieli być żywieni uczestnicy zlotu. Skontrolowałem też drewniane, campingowe domki, gdzie mieli zamieszkać. W czynie społecznym kazałem ludziom ze swojej spółdzielni wykosić chwasty i posprzątać plażę nad jeziorem, pomalować kajaki na przystani wodnej i sprawdzić nagłośnienie radiowe. Na piśmie wystąpiłem do Wydziału Handlu Powiatowej Rady Narodowej o dodatkowe, poza rozdzielnikiem, przydziały wędlin, konserw i napoi gazowanych z przeznaczeniem dla uczestników zjazdu. Słowem zadbałem o wszystko, żeby tylko zyskać uznanie

towarzyszy z KW. W naszej gminie stałem się nagle kimś ważnym, rozumiesz? Takim namaszczoneym przez władzę, co to wszystko może i o wszystkim teraz decyduje. I byłbym odniósł sukces, na pewno, gdyby nie przyczepił się do mnie jak rzep, ten babiarz i pijak, czyli nasz pierwszy sekretarz gminnej organizacji partyjnej.

Tymczasem Zlot Młodych Przodowników Pracy był już tuż, tuż. Na kilka godzin przed jego rozpoczęciem jeszcze raz zlustrowałem cały podległy mi teren, obejrzałem każdy niemal kąt, aż uznałem, że wszystko jest w porządku, zapięte, że tak powiem, na ostatni guzik. Ranek inaugurujący imprezę zapowiadał dzień piękny. Niebo miało kolor bezbrzeżnie niebieski, a lekki wiaterek, jakby tylko dla dekoracji marszczył lekko taflę jeziora. Niebawem zza pobliskich gór wynurzyło się słońce.

- Będzie gorąco - powiedział wtedy mój gminny sekretarz partii, który od tej chwili nie opuszczał mnie nawet na krok.

- Tak - odpowiedziałem mu głośno - zapowiada się piękny dzień. W duchu bowiem odnosiłem to stwierdzenie do siebie, gdyż byłem pewien, że właśnie dziś odmieni się moja zawodowa kariera. Staliśmy z tym moim gminnym sekretarzem na brzegu jeziora i patrzyli na jego przeciwległy brzeg, gdzie zjeżdżały już pierwsze autobusy z młodymi przodownikami pracy. Niebawem cały parking przy Stacji Wodnej wypełnił się autokarami PKS-u z różnych stron kraju. Mój zlot, jak go w myślach nazywałem, nabierał rozmachu.

Niebawem cała przybyła młodzież rozlokowana została w domkach campingowych i zaopatrzona w złotowe chusteczki na szyje i inne, okolicznościowe emblematy. Na jutrzejsze przedpołudnie zaplanowano uroczystą akademię, na której towarzysze z Komitetu Centralnego naszej partii, dekorować mieli najbardziej gorliwych zetemesowców z resortu socjalistycznego transportu.

Na razie młodzi się bawili. Słysząc było chóralne śpiewy i radosne okrzyki, po sutym zaś obiedzie, rozpoczęły się różnego rodzaju gry i konkursy ideologiczne. W ich trakcie, jak to zawsze w takich razach bywa, kursowały z rąk do rąk i z ust do ust, różne buteleczki z wyskokowymi napojami. Pod wieczór więc większość uczestników zlotu była już na całkiem dobrym gazie.

A ja się trzymałem. Naprawdę się trzymałem, słowo ci daję. Nawet kieliszka alkoholu do ust nie wziąłem, mimo, że obecni na zlocie towarzysze radzieccy, co raz wznosili jakieś ważne, internacjonalistyczne toasty.

Za przyjaźń ze Związkiem Radzieckim na przykład, albo za pomyślność naszej PZPR, przewodniej siły polskich mas pracujących. Ja się jednak trzymałem. Pełniłem obowiązki gospodarza z godnością i powagą, ubrany na tę szczególną okoliczność w elegancki, ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Mimo upału i prażącego z nieba słońca trwałem w tej swej służbowej powinności niezmiennie cały dzień, chociaż bywało, że pot spływał mi ciurkiem prosto do butów. Tak mnie przecież uczyłeś, że powierzony nam urząd należy pełnić odpowiedzialnie z należąca mu, marksistowską godnością.

Skinałem mu głową na te słowa z aprobatą, bo rzeczywiście zasady marksistowskiej moralności były mi zawsze najważniejsze. Zgodziłem się też, żeby Muniek opowiadał dalej.

- Noc była już całkiem ciemna - zaczął - kiedy zmęczeni całodziennymi trudami młodzi przodownicy pracy udali się do swoich campingowych domków. Jedni od razu poszli spać, inni wybrali pobliski las, na harce miłosne z dziewczynami. Niebawem nad jeziorem zapanowała cisza. Słysząc było tylko szum drzew i rytmiczne uderzanie fal o betonowe nabrzeże kajakowej przystani.

Udało się - pomyślałem wtedy - udało się. Wszystko było cymes. Ten sekretarz z KW musiał to zauważyć. Tę bezbłędną organizację całego zlotu, to wyżywienie, jakiego sklepy spożywcze w naszym rejonie nie widziały od dawna. Te szynki wędzone, te kielbasy, te konserwy rybne i nawet kilka skrzynek z zachodnią "coca colą". Udało się. Za taką dobrą robotę należy mi się nagroda - pomyślałem ukontentowany sukcesem.

- No, no, szwagier. Nie kiwaj tak głową, że niby resztę już znasz. Myślałem tylko o jednym kieliszku koniaku, nie więcej. Chciałem się jakoś odprężyć, zrozum, bo nerwy miałem cały czas napięte jak końskie postronki. Podszedłem więc do stołu z napitkami, a tam, jak na moje nieszczęście, stał już ów feralny sekretarz gminny naszej partii.

- Gratuluję, prezesie - powiedział do mnie na wstępie - gratuluję. - Jeśli jutro też wam wszystko zagra, to ho ho, mogą was do Powiatu nawet zabrać.

- Daj Boże, jak mówią marksieści - dopowiedziałem mu żartem, ale przyznaję, że słowa sekretarza mile mnie połechnęły. Skoro on zauważył, taki ów z gminy, to i towarzysze z KW na pewno też.

- No to za jutrzejszy dzień - powiedziałem i uniosłem swój kieliszek do góry. Wypiliśmy wtedy z tym sekretarzem po jednym, lub po dwa kieliszki, nie więcej. Zamierzałem już odejść do swojego pokoju w zajeździe turystycznym, gdy nagle wezwał mnie do siebie

ów sekretarz propagandy z komitetu wojewódzkiego partii. Wiesz, ten, co mi zwał na głowę cały ten zlot młodych przodowników pracy.

- No, widzicie. Mówiłem, że będziecie awansować – wykrzyczał mi do ucha, sekretarz mojej gminnej organizacji. Pamiętajcie tylko potem o swoich starych towarzyszach. Taka przyjaźń dwustronna nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Wziął mnie po tych słowach pod rękę i powiedział:

- No to idziemy do tego sekretarza z KW. Żelazo trzeba walić, póki jest gorące. Mówię o tym dlatego, bo to on był potem inicjatorem całej awantury.

Nasz wojewódzki sekretarz od spraw ideologii i propagandy był już wyraźnie podchmielony i pewnie dzięki temu w taki proletariacki sposób łaskawy ludziom.

- Siadajcie tu obok mnie przy stole, towarzysze – powiedział na wstępie i nawet jakoś tak serdecznie objął mnie ramieniem. - Siadajcie. No, muszę wam, towarzysze, jako gospodarzom tego terenu, podziękować w imieniu naszej wojewódzkiej instancji, za świetną organizację dzisiejszego zlotu. Wam, towarzyszu prezesie Sobol, chcę jeszcze, powiedzieć, że jestem z was zadowolony. Stanęliście, że tak powiem, na wysokości zadania. Byle tak dalej, towarzyszu, byle tak dalej.

Znowu poklepał mnie po ramieniu i dodał:

- Będę o was pamiętał. Nie bójcie się, będę o was, oczywiście, pamiętał.

Podszedł potem do stolika i do trzech szklanek zaczął nalewać koniak z radziecką etykietą na butelce.

- A zlot jest piękny, prawda? Piękny. Młodzież, wiecie, wykazała się przywiązaniem do naszych, socjalistycznych ideałów. Słyszeliście, jak o tym mówili w trakcie dyskusji ideologicznych? A jak się bawili potem, jak radośnie śpiewali. Jak to młodzi. Ale i nam, na fajrant, też się, oczywiście, coś należy. Po kieliszku koniak na przykład, co? Dla uczczenia dobrze spełnionej misji. Tylko o tym sza, oczywiście, nikomu ani słowa. Mam do was, towarzysze, pełne zaufanie, rozumiecie. Napijmy się po szklaneczce, ot tak zwyczajnie, jak towarzyszy z towarzyszami, ale potem sza.

Postawił teraz przed nami po szklance gruzińskiego koniak, a potem powiedział:

- Za świetlaną przyszłość tych młodych przodowników pracy. Za socjalizm.

- Teraz chyba rozumiesz, że zostałem ubezwłasnowolniony. Nie spełnienie takiego toastu w obecności sekretarza KW oznaczało moją zupełną klęskę zawodową. Byłem tylko małym prezesem małej Gminnej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska" w małej mieścinie,

uzależnionej w całości od różnego rodzaju talonów, rozdzielników przydziałów towarowych, łaski lub niełaski wszystkich tych towarzyszy na górze. Ta niespodziewana propozycja wspólnego wypicia koniak z sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego dawała mi nadzieję na awans, na lepsze życie, na miejsce w partyjnej nomenklaturze stanowisk, na dyrektorską posadę. Powiedz, czy ty w mojej sytuacji postąpił byś inaczej? No, powiedz?

Milczałem.

Sekretarz tymczasem powtórnie rozlał koniak do szklanek

- Jutro, jak wiecie, przyjadą tu również towarzysze z Komitetu Centralnego naszej partii. Będą dekorować tych młodych przodowników pracy medalami państwowymi, oraz odznakami imienia Janka Krasickiego. Na ich powitanie, wiecie, zaopatrzyłem się w kilka butelek gruzińskiego koniak, żeby ich, oczywiście, jakoś godnie i po proletariacku powitać. Ale myślę, he he he, że ci towarzysze nie dowiedzą się nigdy, że z ich puli uszczknimy sobie jeszcze po kieliszeczku, co? No, to za ich zdrowie.

Dopełnił szklanki koniakiem i to tak po radziecku, znaczy do pełna, a potem wznosił różne toasty, których spełnienia żaden uczciwy członek partii nie był w stanie odmówić. "Za socjalizm na całym świecie" na przykład. Albo: "Na pohybel imperializmowi zachodniomemieckiemu"

Spełnialiśmy te toasty posłusznie, potem wycierali usta wierzchem dłoni i zagryźli węgorem, którego równe kawałki leżały na talerzyku. Mój gminny sekretarz jedno takie dzwonko podniósł zawsze do nosa i wachał je długo, zupełnie jak chłopci w mojej wiosce wachali chleb, gdy chcieli zagłuszyć w siebie zapach samogonu.

Szklanki z koniakiem były znowu napełnione. Nie mogłem już pić, więc trzymałem swoją szklankę w dłoni i udawałem tylko, że spełniam koleiny toast.

- No wypijcie, wypijcie, towarzyszu Sobol. Należy wam się taka nagroda. Nie bójcie się, nasza partia wszystko widzi. Moimi oczami w tym konkretnym przypadku, ale widzi. I towarzysza kucharza widzi, co nam takiego smacznego węgorka przygotowywał i towarzyszy z miejscowego komitetu organizacyjnego, i was, oczywiście, towarzyszu prezesie. Was szczególnie.

- Działajcie tak dalej – dodał z uniesionym do góry palcem - działajcie, a partia wam za to, nie bójcie się. Znowu nalał koniak do szklanek, a swoją uniół do góry. - Za sojusz robotniczo chłopski. Za cały tutejszy, wiejski proletariacki.

Wypiliśmy. To już była trzecia butelka tego



wieczoru i gdyśmy ją skończyli, urwał mi się film. Nie za bardzo wiedziałem, co się potem działo. Jak przez mgłę pamiętam tylko, że w pewnym momencie znaleźliśmy się nad brzegiem jeziora. Wyciągnął nas z hotelowego pokoju ten mój gminny sekretarz partii, zły duch całego tamtego wieczoru. To on zaproponował naszemu towarzyszowi z KW bardzo fajne, damskie towarzystwo. Takie, trzy - jak mówił- młodziutkie kelnerczki z restauracji geesowskiej naszego prezesa. Mieszkają bliźniutko, o tam w domkach campingowych po drugiej stronie jeziora.

Sekretarzowi z KW, bardzo się ta propozycja spodobała.

- Dobra myśl – zawołał. - Zabawić się po pracy nigdy, towarzysze, nie zaszkodzi. Dobrze wypoczniesz, dobrze potem będziesz pracował. Tak nas zawsze uczono na uniwersytecie marksizmu - leninizmu – dodał na koniec i z butelką “gruzina” pod pachą ruszył w kierunku jeziora. Stąd do dziewczyn nie było dalej jak jakieś 100-150 metrów w linii prostej. Tyle, że trzeba było tę odległość przepłynąć kajakiem. Piechotą bowiem trzeba było iść wokół jeziora, drogą z błotnistymi zakolami rzeki, która gdzieś tam za wzgórzami dopiero rozlewała się w jezioro.

Wybraliśmy, oczywiście, wariant pierwszy, ten z kajakiem, bo kto by się tam pchał jakimiś wertepami do dziewczyn, kiedy kajaki stały tuż bliźniutko, na wyciągnięcie ręki, czubkami tylko przywiązane do pachołka, rozpostarte na wodzie promieniście na kształt wachlarza. Jeden z nich odpiąłem wnet i przyholowałem do nóg sekretarzowi. Usiadł w nim razem z tym moim, gminnym. Ja wsiałem między nich, na trzeciego, i wtedy się okazało, że nie mamy czym wiosłować.

- Bez wiosł w nigdzie nie popłyniemy – powiedziałem do sekretarza, sądząc, że w ten sposób odwiodę go od całej tej babskiej eskapady. Ale gdzie tam. Był chyba bardzo napalony na te dziewczyny, bo dość ostro krzyknął w moim kierunku.

- To wymyślcie coś, jesteście tu przecież gospodarzami, tak? Ja mam chodzić za jakimiś wiosłami? Złazłem, więc z kajaka i rozejrzałem się dookoła. Noc była widna, księżyc jak latarnia oświetlał cały teren wokół jeziora, ale wiosła żadnego nigdzie nie zauważyłem. Obsługa chowała je na noc w magazynach zamykanych na klucz, a gdzie spali ci wypożyczający kajaki? Skąd ja to mogłem wiedzieć.

- No, ruszcie się tam – ponaglał sekretarz - tyłek mi przez was zamarza. Sądziłem, wiecie, że jesteście bardziej operatywni, ale chyba się pomyliłem.

Przywołał mnie tym stwierdzeniem do porządku.

Wszystkie moje dotychczasowe starania o awans, cały dorobek tego wieczoru mogły wziąć w łeb, jeśli natychmiast nie uda mi się znaleźć czegoś, co może nam zastąpić wiosła. Rozejrzałem się więc jeszcze raz i, wyobraź sobie, znalazłem. Na brzegu, tam na kamiennym moło, opodal przystani stał taki metalowy kosz, pełen czerwonych flag, ustawiony tam dla dokeracji przy takich właśnie jak dzisiejsza uroczystościach. Z daleka wyglądały niczym kwiaty wazonie. Bez namysłu pobiegłem to tego kosza i wyjąłem z niego, jak leci, sześć czerwonych flag. Dałem po dwie swoim sekretarzom, a dwie zostawiłem sobie. Tym będziemy wiosłować - powiedziałem.

- No, widzicie – ucieszył się nasz sekretarz. - wykombinowaliście jednak. Znaczy, jak chcecie, to potrafcie. No, a teraz naprzód, towarzysze, raz, dwa, raz dwa!

Nie szło nam jednak to wiosłowanie flagami. W dodatku było nam za ciasno w trójkę na jednym kajaku, przeszkadzaliśmy sobie nawzajem, kajak chwiał się więc, płynął jakoś koślawo, raz szedł ukosem, raz kuliście, aż w końcu zniósł nas bokiem na jakąś kępę szuwarów, prawie w połowie przeprawy. Nad wodą wstawał akurat dzień i ta cisza, która zawsze o poranku wisi nad jeziorem, jeszcze bardziej spotęgowała ostre słowa naszego sekretarza.

- Jak wy możecie dobrze zarządzać socjalistycznym przedsiębiorstwem, skoro nawet łódką nie potrafcie kierować. Zawiodłem się na was, towarzyszu prezesie, bardzo zawiodłem.

Przestraszył mnie znowu tym krzykiem. Sam zresztą wiesz, czym się może skończyć gniew sekretarza partii. Zanurzyłem więc swoją flagę jeszcze głębiej w wodę, uczyniłem szeroki zamach i nagle zakołysało mną. Usłyszałem plusk wody, a potem poczułem w ustach smak topieli. Ogarnęło mnie zimno i jednocześnie jakiś strach, który z miejsca spowodował otrzeźwienie. Starłem się wypłynąć na powierzchnię jeziora, złapać trochę powietrza i zorientować się, gdzie są pozostali pasażerowie kajaka. Nasiąknięte wodą ubranie ciągnęło w dół, buty na nogach ciążyły jak z ołowiu. Miałem wrażenie, że tonę, na szczęście pływać umiem niezłe, nie gorzej wcale niż w życiu, więc jakoś zdołałem się wygrzebać i dopłynąć do miejsca, gdzie mogłem stanąć na nogi. Stamtąd dopiero spojrzałem na jezioro. Gdzieś tam musiał być mój sekretarz z KW. Był. Trzymał się oburącz przewróconego do góry dnem kajaka i wrzeszczał na całe gardło: Ratuunku, nie umiem pływać, ratuunku, Chryste Panie, ratunku!

Razem z gminnym sekretarzem, który stał już obok, skoczyliśmy mu na pomoc i wspólnymi siłami

dobrnęliśmy z nim do brzegu. Było z niego sporo chłopca więc z mordował nas do imentu. Nie spojrział jednak na nas ani na moment, nie powiedział też słowa, kiedy odchodził w stronę swojej kwatery. Łaska pańska, jak to mówią. Tymczasem ja, razem z moim gminnym sekretarzem, usiedliśmy sobie dla odpoczynku na plaży. Ranek robił się piękny, zza drzew rosnących na wzgórzach wychodziło słońce, coraz mocniejsze, jakby chciało nas ogrzać i pocieszyć. Piasek był ciepły, nagrany wczorajszym, upałem, wokół żywej duszy, więc na chwilę, dla odpoczynku tylko, wyciągnęliśmy się swobodnie na plaży. Obok położyłem te flagi, co miały być wiosłami i zabij, nie wiem, kiedy zasnęłam. Pewnie ten wypity koniak z naszym sekretarzem sprawił, że spałem twardo, niczym po trudnym dniu we własnym łóżeczku. I co ciekawe, nic mi się nie śniło, zupełnie nic. Żadnych, rozumiesz, najmniejszych nawet przeczuć, żadnych majaków, żadnych intuicyjnych ostrzeżeń. Nic, tylko jakieś dziwne, coraz wyraźniejsze mrowienie po twarzy. Coś się ze mną działo, tylko nie wiedziałem, co. Nagle się obudziłem i z niemałym wysiłkiem otworzyłem oczy. Dzień był już w pełni, słońce prażyło całą swoją siłą, a wokół mnie, i ciągle śpiącego obok sekretarza gminy, leżało pełno ludzi, ale to pełno. Mówię ci, ciało obok ciała, jak to na plaży w upalny dzień, wszyscy, oczywiście w slipach i kostiumach kąpielowych, tylko my dwaj z sekretarzem pośród nich, w ciemnych, eleganckich garniturach z czerwonymi flagami pod ręką. Wyglądaliśmy obaj na tej plaży jak takie dwie mumie z okresu wczesnego socjalizmu radzieckiego, wygrzebane z piachu, dobrze zabalsamowane gruzińskim koniakiem. To, mrowienie na twarzy, które mnie obudziło, było sprawką owych młodych ludzi ze złotu, którzy dla zabawy posypywali nas piaskiem. Żebyś ty mnie widział, jak ja się wtedy zerwałem na równe nogi, jak dałem chodu z tej plaży.

Gonił mnie tylko śmiech tamtych ludzi znad jeziora i własny wstyd. Ktoś podniósł z ziemi czerwoną flagę i wcisnął mi ją do ręki. Uciekałem z nią zupełnie bezwiednie i wtedy na drodze stanęło mi dwóch milicjantów.

- Dokumenty poproszę - powiedział jeden z nich.

Resztę już wiesz - powiedział Muniek i na nowo zaczął podpalać zgasłego papierosa.

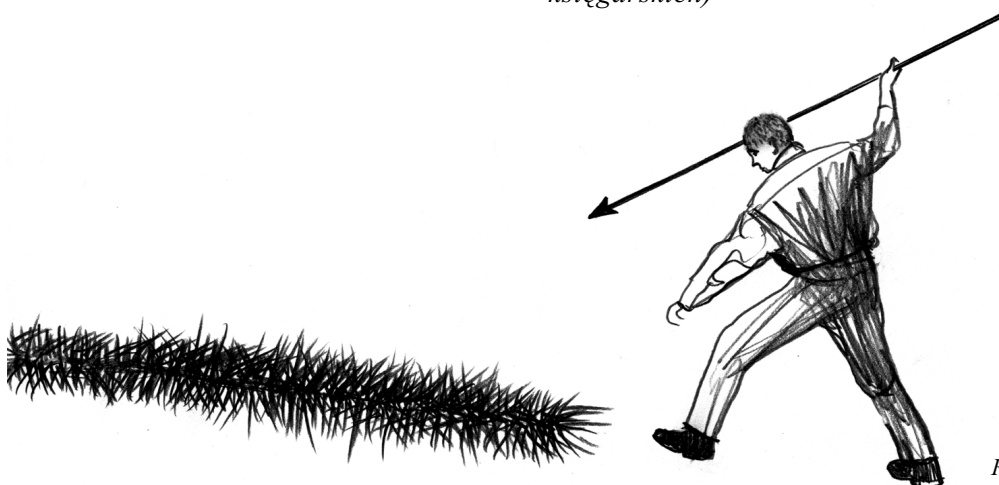
Przyznam, że z trudem powstrzymywałem śmiech. Dla dobra sprawy milczałem jednak, bo zupełnie nie wiedziałem, jak mu mam pomóc. Gdyby nie ten sekretarz z KW, może by się dało ukreślić łeb sprawie. Ale tak? Myliłem się jednak. Sekretarz całą tę sprawę po prostu zbagatelizował.

- Żadnych, oczywista, ideologicznych ani prowokatorskich podtekstów w tym zdarzeniu nie było - powiedział przez telefon komendantowi milicji. Ot, jesteście za gorliwi towarzysze i tyle.

Sądził, że tym sposobem uratuje również siebie. Ale partię nie tak łatwo oszukać. Ktoś uczynny doniósł do Komisji Kontroli Partyjnej o pijaństwie nad jeziorem, o deprawowaniu młodzieży złotowej, w wyniku czego naszego sekretarza, lubiącego za bardzo gruzińskie koniaki, usunięto z pracy w KW. Został karnie przeniesiony na stanowisko kierownika stacji paliw CPN. Tak się potem zastanawiałem. Czy w dobie reglamentacji paliw takie przeniesienie, to była rzeczywiście kara? Wszystko przecież za benzynę można było załatwić. Przyjaźń nowych sekretarzy też. Mój szwagier Muniek natomiast, od tamtego dnia nie brał do ust żadnego radzieckiego koniaku, bo jak twierdził, wszelkie zło bierze swój początek od ideologii.

**Andrzej Kalinin**

*(Fragment książki pt. "Ze sztambucha starego komucha", która wiosną tego roku ukaze się na półkach księgarskich)*



Rys. Jacek Łydźba

## SAMO ŻYCIE

z Arkadiuszem Borowikiem  
rozmawia Sławomir Burszewski



Fot. S. Burszewski.

*Twoje nazwisko często pojawia się na listach płac w programach TV. Co Ty tam właściwie robisz?*

Od dwunastu lat próbuje się utrzymać z pracy dla telewizji. Obecnie robię kilka projektów. Pierwszoplanową sprawą jest dla mnie serial „Samo życie”, którego jestem scenarzystą (w tej chwili jednym z trzech). Piszę także odcinki „Rodziny zastępczej”, jestem stałym współpracownikiem Jacka Fedorowicza przy „Dzienniku Telewizyjnym”, wspólnie z Mariuszem Polaczkiem, też z Częstochowy. Ostatnio pojawiły się trzy pilotowe odcinki serialu „Sublokatorzy”, przy których scenariuszu maczałem palce. Wreszcie doczekałem się też emisji serialu „Męskie — żeńskie”, który pisałem z Krystyną Jandą. W przeszłości były też inne historie. Np. w latach 1996-97 pracowałem przy programie rozrywkowym „Daszek” dla Polsatu (51 piętnastominutowych odcinków), który był naszym - z M. Polaczkiem - programem autorskim. Program produkowali Maciej Zembaty i nieżyjący już Jacek Janczarski. Wcześniej występowaliśmy w audycji radiowej w Trójce „Zgryz” (tych samych autorów). Oni nagrywali „Rodzinę Poszepszyńskich”, a my z Polaczkiem mieliśmy kilkuminutową wkładkę „Z pamiętnika spowiednika”.

*Jakie były początki Twojej pracy dla TV?*

Studiowałem na Politechnice Częstochowskiej na Wydziale Elektrycznym. Kiedy zacząłem sobie zdawać sprawę, że już wkrótce zostanę inżynierem na przykład w hucie, spotkałem Mariusza Polaczka — kolegę ze szkoły średniej, który wtedy mieszkał naprzeciwko Wydziału Elektrycznego. Zamiast na zajęcia, zacząłem chodzić do niego, gdzie przez długie godziny wymyślaliśmy rozmaite, często bardzo dziwaczne historie. Mariusz studiował na Uniwersytecie Śląskim na wydziale Kierownictwa Produkcji. Kiedy opracowaliśmy nasz pierwszy program pt. „Kapitałnie śmieszny program. Kapitałny”, Mariusz przedstawił go swojemu promotorowi do przeczytania. Potem zainteresował się tym Sylwester Chęciński. Wszystko było na dobrej drodze, projekt trafił do telewizyjnej Dwójki, ale w pewnym momencie prace ustały z bliżej niewyjaśnionych nam przyczyn. Ale jakiś pierwszy krok został zrobiony. Pan Sylwester dał nasze zamiary M. Zembatemu i J. Janczarskiemu i wkrótce potem zaczęliśmy pracować z nimi w radiu. Potem pojawiła się propozycja z Polsatu i tak się powoli rozkręcało. To wszystko, oczywiście, trwało latami i wcale nie wyglądało tak różowo. Nie pamiętam, ile razy byłem mamiony propozycjami, z których potem nic nie wynikało. Jeździłem do Warszawy, do Katowic, do Wrocławia, spotykałem się z producentami, reżyserami, scenarzystami w ciemno. Większość propozycji przestawała być realna, zanim na dobre zacząłem o niej myśleć. Pamiętam, że w tamtym okresie często musiałem zapewniać żonę, że jeszcze w przyszłym tygodniu nie umrzemy z głodu. Początki były bolesne.

*Na czym polega Twoja praca?*

Praca przy serialach za każdym razem wygląda nieco inaczej. Pisząc np. „Samo życie”, które jest serialem codziennym (4 odcinki w tygodniu), pracuję inaczej, niż przy serialu emitowanym raz w tygodniu, ponieważ serial codzienny wymaga większej współpracy między autorami. Dlatego jeżdżę do Warszawy i spędzam tam 2-3 dni w tygodniu. Wtedy wymyślamy historię, sytuację, które wydarzą się naszym bohaterom. Potem układamy z tego tzw. drabinki. Są to chronologiczne punkty zdarzeń. Następnie dzielimy je na trzy części, a każdy z nas bierze jedną drabinkę. Rozpisujemy je na dialogi, sytuacje i z tego powstają już gotowe

odcinki. Na końcu zgrywamy wszystko, żeby całość była jednolita. Praca przy serialu komediowym jest bardziej indywidualna, ponieważ np. jak w przypadku “Rodziny zastępczej”, ja piszę gościnnie jeden odcinek na miesiąc. Wysyłam Andrzejowi Grembowiczowi, który prowadzi ten serial, pomysły wątków (w każdym odcinku są dwa) i on mówi np., że to już było, to jest słabe, a to jest OK. W momencie akceptacji, zaczynam pisać odcinek, potem on zleca ewentualne zmiany, poprawki. W przypadku “Sublokatorów” było jeszcze inaczej, ponieważ powstały trzy odcinki, a mnie zlecono ich poprawienie. Bardzo miło wspominać prace scenariuszowe nad “Męskie - Żeńskie”. Praca z Krystyną Jandą jest zupełnie zwariowanym, ale i bardzo radosnym twórczo doznaniem. Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba je tylko uzasadnić. Mam nadzieję, że jeszcze do tego wrócimy. Przy “Dzienniku Telewizyjnym” z kolei jest jeszcze inaczej. Kiedyś wszystkie scenariusze dla Jacka Fedorowicza robiliśmy wspólnie z M. Polackiem, teraz pracujemy oddzielnie. Z panem Jackiem mam kontakt mailowy. Od dwunastu lat dzień w dzień nagrywam wszystkie serwisy informacyjne typu “Panorama”, “Wiadomości”. Potem to wszystko oglądam, wyszukuję rzeczy, które by można w jakikolwiek sposób zamienić na zabawne historyjki, nadające się do emisji i przesyłam swoje propozycje przez internet. Jeszcze trzy lata temu musiałem biegać na pocztę i nadawać faksem, ale ostatnio komunikacja między nami się uprościła. Pan Jacek przekonał się do mailowania, za co mu jestem serdecznie wdzięczny.

*Skąd czerpiesz pomysły? Obserwujesz ludzi, media, szukasz tematu w kronikach policyjnych?*

Przy “Dzienniku Telewizyjnym” obserwacje są ściśle określone, bo jest to program o ludziach z pierwszych stron gazet. Ja jednak lubię najbardziej żarty abstrakcyjne, które wolę od satyry społeczno-politycznej. Uwielbiam zmanipulować wypowiedź polityka, który wypowiada się na jakiś ważny temat, a po mojej obróbce okazuje się, że ze stoickim spokojem wygaduje jakieś nieprzytomne bzdury. Pana Jacka z kolei bardziej bawią rzeczy ściągnięte do ziemi, nawiązujące do aktualnych wydarzeń. Przy serialach jest inaczej. Generalnie piszę to, co chciałbym sam oglądać. Dla mnie seriale bardzo się różnią od siebie. “Samo życie”, “Klan” i “Złotopolscy” mają ze sobą tyle samo wspólnego, co filmy typu “Pan Wołodyjowski”, “Lot nad kukułczym gniazdem” i “Terror Mechagodzilla”. Możliwe, że jest to w naszym kraju gatunek dosyć młody, więc nie wszyscy sobie

z tym radzą, reagując odrzucaniem ich w ogóle. “Samo życie” jest serialem melodramatycznym, a melodramat to, jak wiadomo, rodzaj dramatu, który opowiada o uczuciach ludzi. Zresztą, od czasu, kiedy zacząłem się tym zajmować, motywy melodramatyczne dostrzegam praktycznie wszędzie. Seriale różnią się na przykład natężeniem emocji. W “Klanie” historia płynie sobie wolno i bliższa jest życiu codziennemu. Serial ten spełnia rolę słuchowisk radiowych, jak “W Jezioranach”, “Matysiakowie”, których bohaterów się kocha, obojętnie czy oni jedzą czy śpią. Są po prostu częścią codzienności, przyjaciółmi rodziny. Oczekiwania widzów “Samego życia” są trochę inne. Więcej tam na przykład sensacji, ale też pora nadawania inna. Generalnie rzecz biorąc, ludzie najchętniej oglądają historie o miłości. I to wcale nie dotyczy tylko kobiet. Przedział oglądalności wynosi 60:40 na korzyść kobiet, więc jak widać różnica nie jest duża. Mężczyźni też lubią oglądać historie o zakochiwaniu się, chociaż często z jakichś powodów się do tego nie przyznają. Zresztą, sam byłem swego czasu zdeklarowanym przeciwnikiem telenowel, ale to były trochę inne czasy. Zналиśmy głównie produkcje latynoskie w rodzaju “Isaury”. W 2000 roku powstał projekt serialu “Adam i Ewa”. Udało mi się wygrać konkurs na jednego z trzech autorów serialu i tak to się zaczęło. To była klasyczna historia melodramatyczna. Wracając do pytania o inspiracje — wszystkie historie zmyślam. Z życia biorę jedynie nazwiska bohaterów. Przypominam sobie, z kim chodziłem do szkoły... Nazwiska nauczycieli... lekarzy... I w ten sposób nazwiska ludzi, których znam, znałem, czasem trafiają na ekran. Nie wiem, jak wymyślam historie. Często nic nie mi przychodzi do głowy. W końcu siadam przy komputerze ze słabym zarysem sytuacji i klimatu pomiędzy 2-5 osobami. Jest sytuacja zastana z poprzedniego odcinka, wiem, dokąd zmierza historia i w pewnym momencie oni zaczynają mi mówić w głowie. Czasem nie nadażam z notowaniem. Mam też różne sposoby na siebie. Parę płyt z magicznymi utworami, przy których pęka “bania z pomysłami”. Najważniejsze, żeby pisząc, myśleć daną postacią. Zawsze staram się jak najgłębiej wejść w wymyślony świat. Wierzę, że skoro dana opowieść wciąga mnie, jest szansa, że na widza zadziała podobnie. Nie ukrywam, że cieszy mnie, kiedy ludzie pasjonują się rzeczami, które współtworzę. “Samego życia” powstało już 478 odcinków, a mnie nadal pomysły na następne odcinki spędzają sen z powiek. Nie chciałbym popaść w rutynę. Nie chcę, żeby ludzie oglądali serial z przyzwyczajenia.



*To łatwy kawałek chleba?*

Przy pisaniu seriali trzeba mieć pasję i wytrwałość. My robimy 2 godziny filmu tygodniowo, więc tempo jest ogromne. Trzeba być trochę wariatem i lubić to, co się robi. Scenariusz do filmu fabularnego pisze się 3-6 miesięcy, czasem dłużej. My na podobny objętościowo materiał mamy tydzień. To ciężka praca, od której można dostać obłędu. Odpoczywam jedynie w wakacje, gdyż nieustannie coś mi wisi nad głową, coś muszę napisać... Ale nie narzekam. To świadomy wybór.

*Czy uczyłeś się scenopisarstwa? Kończyłeś specjalne kursy?*

Nie uczęszczałem do żadnej szkółki. Miałem szczęście uczyć się praktycznie na własnych błędach, terminując u ludzi z dużym doświadczeniem. Warsztat jest ważny, ale na pewno nie najważniejszy. Według mnie, najlepsze sceny melodramatyczne powstają, kiedy

naprawdę się wzruszę, komediowe – gdy się zaśmieję. Autor musi przeżywać swoje dzieło, żeby było autentyczne. Żeby w ogóle było. W Polsce jest trochę ludzi piszących scenariusze, natomiast gorzej jest z jakością ich pisania. Niestety, wiele zdolnych osób nie jest w stanie wytrzymać tego pierwszego okresu, kiedy trzeba się żywić tylko obietnicami. Nikt nie chce umierać dla sztuki. Dlatego potrzeba sporo szczęścia i znalezienia się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

*Jesteś totalnym komercjalistą?*

Cóż to znaczy? Czy aktor grający komercyjnie, gra inaczej niż w produkcji niekomercyjnej? Nie. Aktor powinien wcielić się w daną postać najlepiej, jak potrafi. Nie powinien w pierwszej kolejności zastanawiać się nad tym, gdzie go zobaczą. Podobnie scenarzysta. Kiedy siadam do pisania sceny, myślę, co moi bohaterowie przeżywają, a nie o tym, czy będą ich oglądał w kinie, telewizji czy teatrze. I to jest priorytet. Potem oczywiście można pewne rzeczy dostosowywać.



Fot. S. Burszewski.

Nie można nie liczyć się z wymaganiami stacji telewizyjnych, ale też niezależnie od tego czy robi film fabularny czy serial. Bo jakieś wymogi zawsze są. Ale takie są realia, trzeba się liczyć z oglądalnością. Pojęcie komercji dotyczy, moim zdaniem, produktu, a nie momentu tworzenia, który jest dla mnie najciekawszy. Potem wszystko jest produktem. Jak jest na to popyt, to jest sukces komercyjny. Tak samo w przypadku filmów, jak i na przykład malarstwa. Dla oddechu od scenariuszy, od trzech lat piszę książkę, którą być może kiedyś wydam. Piszę ją całkowicie według swoich upodobań. Mimo to skłamałbym, gdybym powiedział, że wszystko mi jedno, czy przeczyta ją tylko moja rodzina, czy sto milionów ludzi. Współpisałem też scenariusz do filmu fabularnego „Jasnoblękitne okna”, który jest w fazie przygotowań do zdjęć. To historia o dwóch przyjaciółkach, z których jedna jest śmiertelnie chora. Historia o nadziei. Chodzi mi o to, że piszę bardzo różne rzeczy, ale tak naprawdę podchodzę do pisania zwykle tak samo. Chcę opowiedzieć jakąś historię najlepiej jak potrafię.

*Kręcisz się blisko telewizji. Czy jest tam ktoś z Częstochowy?*

Nikogo nie spotykam. Oni się chyba gdzieś rozpełzli. Niekiedy słyszę o Łukaszu Wyleżałku, z którym jest kojarzona Częstochowa. Wszyscy się zawsze dziwią, że ja go nie znam. Warszawiacy uważają, że Częstochowa to taka większa wieś, gdzie wszyscy się dobrze znają. A przecież tak nie jest. Tak naprawdę trzymam się z dala od telewizji i od ulicy Woronicza. Pracuję w studiach producenckich, które przygotowują gotowe programy dla TV.

*Znani aktorzy to Twoi bliscy przyjaciele?*

Przesada, chociaż znam kilku dobrze. To normalni ludzie, którzy na ulicy są rozpoznawani jako małpy z telewizora. Niektórym to przeszkadza. Na bankietach firmowych są bardzo mili dla scenarzystów, gdyż czasami ich wątek w serialu się kończy i trzeba porozmawiać o jego przedłużeniu. Od nas wiele zależy...

*Dziękuję za rozmowę.*

## STAWIAM NA FABULĘ

**rozmowa z Przemysławem Pastuszką,  
15-letnim autorem powieści “Ebrad”  
której fragmenty drukowaliśmy w Alejach 3**

- Witaj Przemku!
- Cześć!
- Czym się interesujesz?
- Lubię informatykę i dobrą literaturę.
- Co według Ciebie znaczy “dobra literatura”?
- Są to powieści oparte na szerokiej wiedzy autora, z wartką akcją i wciągającą fabułą.
- Dlaczego zainteresowałeś się komputerami?
- Urządzenia teleinformatyczne ciekawiły mnie od dawna, jednak moja pasja mogła rozwinąć się po zakupie pierwszego komputera.
- Jak zaczęła się Twoja przygoda z pisaniem?
- Na początku pisałem teksty po prostu do szkoły, na przykład jako prace domowe. Dopiero później pojawiły się różne konkursy i zacząłem traktować to poważniej.
- Jaki jest Twój styl?
- Przede wszystkim stawiam na fabułę, która musi być skomplikowana, tajemnicza, a ponad wszystko wciągająca. Staram się również wiernie oddawać emocje i refleksje bohaterów. W moich tekstach pojawiają się także wątki czysto fantastyczne, zagadnienia niezbadane jeszcze przez naukę. Jakoś nie mogę się przekonać do pisania w pełni realnych powieści.
- Co jest motorem napędowym Twych powieści?
- Jak już mówiłem, jest to atmosfera tajemniczości i zjawiska paranormalne. Bazuje na tym wiele wspaniałych książek, ale nie czuję, że w jakiś sposób kopiuję te pomysły, gdyż pole do popisu w tej dziedzinie jest przeogromne, ograniczone tylko naszą wyobraźnią.
- Czy Twój styl zmienił się na przestrzeni kilku lat?
- Na pewno tak. Gdy teraz wracam do moich poprzednich tekstów, mam ochotę roześmiać się.
- Masz plany literackie na przyszłość?
- Mam kilka pomysłów na kolejne fabuły, lecz nie jest przesądzone, czy wprowadzę którąkolwiek w życie. Bardziej prawdopodobne jest, że później wymyślę coś nowego.
- Dziękuję za ciekawe informacje, poświęcony czas.
- Chętnie podzieliłem się swoimi przemyśleniami.

**Rozm. Agnieszka Rataj**

**Radosław Purski**

## **Drobny poślizg językowy**

Prezes został aresztowany. Przesiedział pod kluczem całe pięć dni i bardzo się potem szczyił swoim kombatanctwem. Tym bardziej, że aresztowania dokonały służby obcego państwa i z tego to tytułu nazwisko prezesa kilka razy dziennie przewijało się w mediach. Paradoksalnie uznał to za świetną a darmową reklamę – długo potem bowiem ogłaszano, że nastąpiła pomyłka a człowiek był niewinny. On sam zaś zaczął z radością odnajdywać się w roli męczennika.

A było to tak.

Z początkiem roku prezesa zaproszono na bardzo ważną konferencję ekonomiczną do Londynu. Organizator zapewniał rozmaite atrakcje, szwedzkie stoły i luksusowe apartamenty dla prezesa i jego świty. Prezes zdecydował, że w skład delegacji wejdzie pan Sawicki i dwie młode i piękne tłumaczki; pomimo wielorakich talentów prezes nie zdołał jeszcze opanować trudnej sztuki władania językami.

Dopieściwszy detale organizacyjne pozostawało czekać jedynie na dzień wyjazdu. A całą wyprawę od samego początku prześladował szczególny pech. Z powodu fatalnych warunków pogodowych opóźnił się start samolotu – całe towarzystwo przesiedziało kilka godzin w poczekalni nudząc się śmiertelnie.

Potem nad kanałem La Manche pan Sawicki utknął w toalecie – w uwalnianie nieszczęśnika zaangażowała się co najmniej połowa pasażerów i dwie stewardessy uzbrojone w łomy.

Na Heathrow wypatroszono im bagaże, bo ponoć psy celników coś tam wyczuły.

Rezygnując z podróży metrem prezes zrujnował się na taksówkę. Taksówkarz okazał się być bardzo miłym człowiekiem; powiózł ich okrężną trasą z uwagi na wszechobecne ponoć korki.

W rezultacie umęczeni uczestnicy konferencji zwiedzili wbrew swojej woli znakomitą część miasta, płacąc za tę przyjemność bardzo słono.

Głodni i wściekli dotarli do hotelu – tu dowiedzieli się, że z uwagi na późną porę kuchnia już nic im nie zaserwuje, ale jeśli chcą, to mogą zadowolić się resztkami ze szwedzkiego stołu.

A potem okazało się, że tłumaczki są kompletnie nieżyczliwe. Pan Sawicki poszedł zaprosić je “na kawkę” do apartamentu prezesa – niewiasty zabarykadowały

się jednak w swoim pokoju i nie reagowały zupełnie na rozpaczliwe walenie w drzwi. Prezes i pan Sawicki opróżnili więc samotnie butelkę i w podłych nastrojach poszli spać. A następny dzień też nie był lepszy.

Prezes ziewał potężnie słuchając nadętych i nudnych mów różnej maści ekonomistów. Pan Sawicki bawił się telefonem i czyścił paznokcie. A tłumaczki były oficjalne i oschłe. I co najgorsze, okazywały się być niezbędne w każdej, nawet duperelnej sytuacji – choć prezes najchętniej pogoniłby je gdzie pieprz rośnie.

Popołudniową porą organizator zafundował im rozrywki kulturalne.

Klnąc w żywe kamienie prezes długo szukał wyjścia z British Museum. Gdy wreszcie spocony ze strachu zdołał wydostać się na zewnątrz, kategorycznie odmówił zwiedzania National Gallery i wrócił w te pędy do hotelu.

Wieczorem zaś wespół z panem Sawickim zostali zmuszeni do obejrzenia sztuki teatralnej, z której mimo najlepszych chęci nie zrozumieli nawet przecinka. Starali się jednak bardzo okazywać głośne rozbawienie w tych samych momentach, co reszta publiczności. Po atrakcie wychodziło im to już niemal idealnie.

W hotelu pan Sawicki jeszcze raz przypuścił szturm na drzwi pokoju tłumaczek i po bezskutecznym obłężeniu wrócił z kiepską miną.

A trzeci dzień zaczął się już zupełnie fatalnie.

Tłumaczki złożyły rezygnację, spakowały manatki i wyniosły się z hotelu. Referaty konferencyjne były jeszcze nudniejsze niż poprzednie. Prezes walczył ze snem rozglądając się po sali – reszta delegatów też miała nietęgę miny. Natomiast pan Sawicki był nadzwyczaj ożywiony – zdawało się, że nie może sobie znaleźć miejsca. Wiercił się i stękał – na dodatek jego twarz, zazwyczaj nienaturalnie blada, zaczęła mienić się różnymi barwami, od subtelnej zieleni poprzez wyrazisty fiolet aż po głęboką purpurę.

W końcu wydał z siebie głośne “ach!”, zerwał się z fotela i popędził jak oszalały w kierunku korytarza. Następne kilka dni spędził w łóżku zarzekając się, że już nigdy w życiu nie tknie ostróg ani podobnych im paskudztw.

A prezes został zupełnie sam i nudził się jak mops wydeptując ścieżkę pomiędzy pokojem a hotelowym barem. Wreszcie któregoś popołudnia nie wytrzymał i uzbroiwszy się w aparat fotograficzny, mapę i słownik ruszył w miasto.

Z radością odkrył, że porozumiewanie się z tubylcami nie jest rzeczą trudną. Wyszło na jaw, że wystarczą praktycznie trzy słowa żeby załatwić, co tylko się chce: “yes”, “no” i “ok.”. Czasami też w dobrym tonie było dodać “thank you”. Wędrował więc sobie ulicami, fotografował co się dało i szkolił komunikację werbalną w języku obcym.

Jak już kiedyś rzekliśmy, prezes był człowiekiem lubiącym czynny wypoczynek i współzawodnictwo we wszelkiej postaci. Uprawiał całe multum dyscyplin sportowych, a rytuałem stały się wizyty w siłowni i radosne męki wyciskania siódmych potów. Hotel co prawda dysponował takim przybytkiem, ale w związku z wizytą reprezentacji sztangistów tajlandzkich był on praktycznie niedostępny dla rzeszy gości.

Prezes bolał szczerze nad tym faktem i właśnie przyszło mu do głowy, że nic nie stoi na przeszkodzie, by rozejrzeć się teraz za jakimś miejscem, gdzie w spokoju mógłby poćwiczyć. Poślinił palec, przekartkował słownik i znalazł odpowiedni zwrot: *power station*. Powtórzył kilka razy w pamięci, przećwiczył wymowę i ruszył zasięgnąć języka.

Nieopodal dystyngowany, siwy dżentelmen kontemplował wystawę i to jego upatrzył sobie prezes na potencjalnego informatora.

- *Eksjuz mi ser. Am lukig fo a paler steiszyn.*

Dżentelmen zareagował płynną angielszczyzną, ale z miny pytającego wnosząc, że ni w ząb nic nie rozumie, przystąpił do pantomimy. Prezes śledził uważnie ruchy rozmówcy – odpowiedź była zaiste zadziwiająca. Wynikało z niej bowiem, że jeżeli w ogóle gdzieś w Londynie jest jakaś siłownia to najpewniej za miastem.

“Straszny sklerotyk” prezes pokręcił głową, wyszczerzył zęby w dziękczynnym uśmiechu i przydybał następnego przychodnia. A potem trzeciego, czwartego i tak dalej. Nie posunął się w swych badaniach ani na krok, bo wszyscy udzielali dziwnych odpowiedzi.

\*

Pan Sawicki czuł się już nieco lepiej a zielen jego twarzy powoli ustępowała miejsca szlachetnej błości. Mimo to wolał jeszcze nie ryzykować żadnych posiłków, a i do wody odnosił się dość nieufnie. Wędrował właśnie z łazienki do łóżka, gdy rozległo się głośnie pukanie.

Uchylił nieznacznie drzwi apartamentu i zanim kogokolwiek zdołał dostrzec, poczuł silne pchnięcie. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Do pokoju wpadło kilku uzbrojonych mężczyzn i nim oprzytomniał był już skuty i rozciągnięty na podłodze. Napastnicy wyglądali dość groźnie – jeden z nich trzymał pana Sawickiego na muszce, podczas gdy reszta metodycznie przeszukiwała apartament czyniąc przy tym straszliwe spustoszenie.

\*

Jakież było zdumienie pani prezesowej, gdy późnym wieczorem zadzwonił do niej ktoś z Ambasady Polskiej w Wielkiej Brytanii. Zdumienie zmieniło się w przerażenie, gdy usłyszała, co ten ktoś ma do powiedzenia.

Otóż pan prezes, a jej małżonek, został zatrzymany pod zarzutem przygotowywania zamachu terrorystycznego na wielką skalę. Usiłował ponoć dostać się do siłowni elektrycznej i spowodować awarię, która sparaliżowałaby praktycznie cały Londyn. Poinformowano ją również, że zatrzymano współnika męża, niejakiego Sawickiego i że czynności wyjaśniające trwają. Na koniec głos prosił o wykazanie zrozumienia dla działań strony brytyjskiej, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń na świecie i na kontynencie. Wyraził nadzieję, że prezes i jego współnik okażą się w ostatecznym rozrachunku niewinni.

Prezesowa nie potrafiła wykazać zrozumienia i natychmiast dostała spazmów.

\*

Jakaż była radość pracowników firmy, gdy oglądając telewizję zobaczyli skutego prezesa i spętanego Sawickiego. W biurach aż huczało od plotek, wydajność malała dramatycznie, a rozluźniony personel coraz więcej czasu spędzał w palarni i eksploatował do granic możliwości przerwę śniadaniową. Z drugiej strony co przezorniejsi wazeliniarze opracowywali w tajemnicy program uroczystości powitalnej prezesa na wypadek, gdyby zarzuty o jego terrorystycznych zapędach się nie potwierdziły. Grupa nadgorliwców szyła wieczorami imponujących rozmiarów transparent, z wielkim hasłem w części centralnej: “Witamy bohatera!”. Były już gotowe teksty spontanicznych przemówień, a ktoś dał nawet zadatek na olbrzymi bukiet, szampana i pamiątkowy album. Pozostawało śledzić bieg wypadków i przeglądać gazety.

Tak minęły cztery dni. A piątego gruchnęła wieść, że prezes wraca. Wazeliniarze nabrali pewności siebie, wyszli z konspiracji i w błyskawicznym tempie poczęli dekorować gmach firmy. Opłaciło się. Pierwszy dzień urzędowania prezes zaczął od udzielenia kilku nagan i zwolnienia trzech ludzi. Doniesiono mu bowiem, że odmówili oni stanowczo dziergania transparentu.



## Tamara Klabisz

### C Z @ T

Wpatrywałam się w ekran komputera. Nie wiem, czego tam szukałam. Szczęścia tam przecież nie znajdę. Jak na razie, to komputer zdenerwował się na mnie i zamiast niebieskiego tła pulpitu, pokazał mi akwarium. Ucieszyłam się, podobno akwarium relaksuje, a że ja nie jestem jego posiadaczką, co mi szkodzi popatrzeć na to, co technika oferuje. W końcu, ten symbol nowoczesności kosztował mnie takie pieniądze, że może służyć też do relaksu.

Komputer zajął w moim mieszkanku honorowe miejsce dwa dni temu. Został przywieziony i zmontowany. Kupiłam go chyba, żeby zastąpił mi mojego chłopaka, który wyprowadził się tydzień temu, do nowej miłości. Podobno była to miłość jego życia. Ha ha ha! Powtarzał to często, bowiem miłości swojego życia spotykał kilka razy w roku. Widocznie lubił cygański tryb życia i związane z tym częste przeprowadzki. Doszedł w tym do perfekcji. Zniknął, jakby go nie było. I nie wracał. Wyprowadził się bez uprzedzenia. Dziwne, nie miałam do niego pretensji. Tylko ta pustka w domu była denerwująca. Cisza była przygnębiająca i ani głośna muzyka, ani telewizja nie wypełniały jej.

Musiałam więc wypełnić pustkę i zająć czas po pracy. Za najlepsze wyjście uznałam zakup komputera. Przymierzałam się do tego od dawna, a tak, zajmę myśli nauką obsługi, zajmę czas, no i będę w kontakcie ze światem. Same plusy. Witamy w XXI wieku! W czasach globalnej wioski!

Na pulpicie nie kusiła mnie żadna ikona. Upiłam łyk kawy i zerknęłam na telefon, a może zostawić komputer w spokoju, a zadzwonić do kogoś. Ale ofuknęłam sama siebie. Nie! Nigdzie nie dzwonię! Bo wszyscy będą się nade mną litować i doradzać klin klinem, czyli nową miłość.

Telefon odpadał. Na czytanie książki byłam zbyt rozkojarzona. Wróciłam do komputera. Ciągle miałam ochotę z kimś pogadać. Mam znajomych, którzy twierdzą, że pogadać można tylko na czacie. Może bym i ja spróbowała. W końcu, i tak nikt nie będzie wiedział, że to ja. Nie widać mnie tam, nie słyszą. Lepsze niż telefon zaufania.

Wjechałam kursorem na przeglądarkę internetową i kliknęłam. Po chwili pojawiła się na niej strona portalu,

znów kliknęłam - na czat. Ładował się długo, ale doczekałam się. Wybrałam pokój, gdzie było najwięcej osób, czyli „Randki”, wpisałam swojego nicka i jako „SuperGwiazda” weszłam na czat.

Przedemną pojawił się zapis rozmów. Przez dłuższy czas nie włączałam się do rozmowy, śledziłam tylko jej przebieg. Nowe osoby przychodziły i odchodziły. Rotacja była szybka i nie bardzo za nią nadażałam. Nicki, jakie ludzie przybierali, przyprawiły o ataki śmiechu. Pojawiła się „NapaLonaLaska”, zaraz po niej przyszedł „Młody\_ogier”, Matyjas i „Wygłodniała\_suczka”. Po kilku takich nickach mój okazał się bardzo grzeczny i skromny. Zorientowana już w tematyce, postanowiłam się przywitać.

- Witam wszystkich! - wysłałam i zobaczyłam swoje przywitanie wśród innych.

- Miło przywitać Gwiazdę! - odpowiedział na moje powitanie „SupeRMan”

- Naprawdę taka Gwiazda jesteś? - „Kicccia” włączyła się do rozmowy.

- Nie wiem, pewnie jestem. - odpowiedziałam.

- Te co mają najlepsze nicki potem okazują się do bani! - „18cmrozkoszy” wydało swoją opinię.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwiłam się.

- Mam doświadczenie w tej dziedzinie! - „18cm” przyznało dumnie.

- Aha! Już widzę to Twoje doświadczenie. Jesteś prawiczką z liceum w grubych okularach! - „PolskiMacho” nieładnie potraktował „18cm..”

- Taaa.. jak wszyscy tu! Sami erotomani gawędziarze! - „Lisssssica” miała już wyrobioną opinię na temat mężczyzn.

- A jakie Ty masz doświadczenie, że tak twierdzisz?

- nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spytać

- Pogadaj z nimi trochę dłużej sama się przekonasz! Same safandule! - napisała „Lisssssica”

- Może i safandule, ale takie feministki jak Ty też nie mają czego tu szukać! - „Pięknymłody” widocznie nie lubił kobiet, z własnym zdaniem.

- Zostaw ją w spokoju! To pewnie jakaś lesba! Zmień pokój na Les! - „PanszukaPani” - potraktował Lisicę dosyć ostro

- Masz rację, albo jakaś gruba w okularach, z przyszciami i owłosionymi nogami, której nikt nie chce i się tutaj wyżywa! - „Ostrysamczyk!!!” trzymał stronę mężczyzn, zrobiło mi się żal Lisicy.

- Nie przejmuj się, faceci zawsze się tak zachowują, to im zostaje z dzieciństwa, tak jak ciągnięcie za warkocze - starałam się ją pocieszyć.

- Lubię ich tak drażnić, wtedy można łatwo poznać normalnego faceta, nie wdaje się w głupie gadki,

a taka jak ja nie chciałyby nawet na nich spojrzeć.

- Lisica lubiła chyba wzbudzać kontrowersje na czacie.

Bawiła mnie ta rozmowa. Nieznający się ludzie toczą wirtualną kłótnię. Przez chwilę znów obserwo- wałam tok rozmów. Dotyczyły głównie seksu. Nicki też miały podteksty seksualne. Niespodziewanie pojawiła mi się Priva. Ucieszyłam się. Jakaś nowość. Postanowiłam przyjąć gościa. Tym bardziej, że brzmiał sympatycznie: „MałeLwiątko”. Kliknęłam i pojawiło się nowe okno.

Lwiątko już czekało.

- Cześć ! – napisało.

- Cześć, skąd jesteś? – odpisałam.

- Z Częstochowy, a Ty?

- Też, ale fajnie! - ucieszyłam się.

- A ile masz latek? Bo ja 31.

- A ja 29, mój były też miał tyle co Ty – dodałam.

- Rozstaliście się? - spytał.

- Tak jakby. Tak, rozstaliśmy się.

- Przykro mi, ja też niedawno zrobiłem komuś świństwo, chyba do końca życia będę tego żałował.

Rozmowa wciągnęła nas i nie wracałam już na czat. Razem z moim gościem wylewaliśmy wirtualne łzy. On na swoją głupotę, a ja na Artura.

- Wiesz co, przepraszam Cię bardzo! Ale muszę trochę popracować, masz GG? Spróbuję Cię jakoś złapać. - MałeLwiątko chyba mnie polubił.

- Mam GG - odpowiedziałam, bo chodziło mu o połączenie „gadu - gadu”.

- A dasz numer? - spytał.

Zastanowiłam się, chyba dam. Chociaż i tak nie wierzyłam, żeby się jeszcze kiedyś odezwał. Bo i po co. W końcu, wyprał swoje sumienie, a ja wylałam żale. Oboje szukaliśmy osoby, która by nas wysłuchała. Udało się. Po co pogłębiać taką znajomość. Ale wpi- sałam numer i wysłałam.

- Znajdę Cię! - pokazało się w odpowiedzi.

- Obiecujesz czy straszysz? - zażartowałam.

- Obiecuję! Nie wiem, kiedy znajdę czas, ale ja zawsze dotrzymuję obietnic!

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Taaaa... - napisałam - Wy wszyscy dotrzymujecie obietnic - wysłałam.

- Widzę, że były zalazł Ci za skórę! Zobaczysz mnie jeszcze w wirtualu. Nara... PAAAPAAA!!!

- Papapa - odpisałam i rozłączyłam się. Miałam dość rozmów jak na pierwszy raz. Szklanka po kawie stała pusta. Dochodziła dwudziesta druga, a ja o szóstej muszę wstać. Pora spać.

Od tamtej rozmowy minął prawie tydzień. W pracy

miałam gorący okres i nie miałam czasu nawet włączyć komputera. Grypa położyła do łóżek część pracowników i pozostali pracowali na dwie zmiany. Do domu wracałam więc głodna, zmęczona i nie miałam nawet siły myśleć. Padałam na łóżko i zasypiałam od razu. O istnieniu Lwiątko prawie zapomniałam. Nawet nie wiem, jak to Lwiątko ma na imię, on o mnie też nic nie wie. Jesteśmy z jednego miasta, wiemy ile mamy lat, wyplakaliśmy swoje żale. A przecież po drugiej stronie może być ktoś znajomy. Dziwne uczucie, bo z tym kimś mogę pracować, albo spotykać go codziennie w autobusie, w pracy, może być stałym klientem księgarni, gdzie pracuję.

Pierwszy raz od dawna usnęłam w dobrym humorze. W końcu jutro mam wolną sobotę! Obudziłam się i ledwie otworzyłam oczy, pobiegłam włączyć kom- puter. Kawa wydawała mi się niezbędna i szybko postarałam się o nią. Pierwsze łyki rozgrzały moje zaspane ciało. Usiadłam przed komputerem i połączy-łam się z internetem. Nie zdążyłam nawet dotknąć myszki, kiedy na pasku w miejscu słoneczka “gg” pokazała się koperta i napis „Nieznajomy przesyła wiadomość”. Mało nie zakrztusiłam się kawą z wrażenia!

Kliknęłam w tym miejscu i otworzyło się żółto- pomarańczowe okno z zapisem kilku wiadomości.

„Pamiętasz mnie jeszcze? To ja Małe Lwiątko. Obiecałem, że się odezwę, tylko, gdzie Ty się podzie- wasz? Szukam Cię codziennie, a Ty wciąż niedostępna, zupełnie jak książeczka zamknięta w wysokiej wieży. „

Patrzałam na to i nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy ... . Sama nie wiem. Ciekawość okazała się silniejsza. Otworzyłam GG i zaczęłam poszuki- wania znajomych. Wpisałam znane dane, a po kilku sekundach zobaczyłam, że Lwiątko jest dostępny. Nie zastanawiając się zaczęłam rozmowę. Rozsiadłam się wygodnie na fotelu i położyłam sobie klawiaturę na kolanach.

- Puk, puk, można? - napisałam i wysłałam.

- Pewnie, że można! Miło Cię wreszcie widzieć! Gdzie się podziewałaś? - dostałam w odpowiedzi.

- Praca, praca, praca.... - odpisałam.

- Moje biedne Małeństwo! Ale Ty masz chociaż dzisiaj wolne, a ja wciąż w pracy.

Rozmowa zajęła nam prawie całe przedpołudnie. Dobrze, że mnie nie widział, bo żaden normalny facet nie chciałby ze mną rozmawiać. Siedziałam przed kompem nieubrana, z resztkami wczorajszego makijażu i z włosami... o włosach lepiej nie wspominać. Dalej posługiwaliśmy się swoimi pseudo. Jakoś imiona nie wydawały nam się do niczego potrzebne. On był Lwiątkiem, a ja Gwiazdeczką. Wystarczyło. Ważne,

że ktoś na mnie czekał. Choćby tylko w wirtualu. Zapomniałam już, jakie to wspaniałe uczucie.

Niedziela minęła już pod znakiem lepszego samopoczucia, wreszcie postanowiłam coś ze sobą zrobić. Wstałam rano i od razu spojrzałam w lustro. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Odkąd Artur odszedł, przestałam dbać o siebie, nie miałam dla kogo. A dla siebie samej brakowało mi motywacji i chęci. Motywacji dostarczył mi mężczyzna, który dla mnie istniał tylko w Internecie.

W lustrze zobaczyłam swoją własną twarz, postarzałą o kilkanaście lat. Zmęczenie w pracy zrobiło swoje, ale nie wiedziałam, że brak czyjejs troski, zainteresowania i bliskości drugiej osoby, może tak niekorzystnie odbić się na moim wyglądzie. Z Lwiątkiem nie umawiałam się na dzisiaj, więc postanowiłam poświęcić ten dzień dla siebie. Swojego ciała. O ducha może zatroszczy się Lwiątko. Kto wie?

Wyłączyłam telefon i komórkę. Nie ma mnie dla nikogo, to ma być tylko mój dzień. A łazienka ma stać się moim królestwem. Nalałam sobie do wanny wody z dodatkiem olejku różanego, i zanurzyłam się po szyję w pachnącej pianie. Po kąpieli zajęłam się pielęgnacją włosów i ciała. Co prawda, na myśl o depilacji nóg, zagryzałam zęby, przyjemność to była masochistyczna, ale niestety... Głupota kobiet nie zna granic, kiedy w grę wchodzi jakiś interesujący mężczyzna. Mam nadzieję, że interesujący.

Piękna i pachnąca włączyłam wieczorem komputer. Ostatecznie, po takim dniu też mi się należy trochę przyjemności dla intelektu. Postanowiłam obejrzeć film, niech będzie ambitnie i duchowo. Wybór padł na „Ukryte pragnienia”. Sieć jednak kusila i połączyłam się z netem, od razu na pasku mignęła mi żółta koperta „Lwiątko przesyła wiadomość”. Otworzyłam, wiadomość była z wczorajszego wieczoru. „Śpij słodko Maleństwo, życzę Ci żebyś miała same przyjemne sny i obudziła się z uśmiechem na ustach. I choć się nie znamy to przesyłam Ci całusa, szkoda, że tylko takiego wirtualnego.”

Przeczytałam to i uśmiechnęłam się sama do siebie. Rany! Nie pamiętam, żeby ktoś tak mnie żegnał na dobranoc. Szkoda tylko, że takich mężczyzn nie spotyka się na co dzień.

Nie mogłam się powstrzymać, aby nie odpisać. Na dobranoc nie było sensu, ale na dzień dobry, czemu nie.

- Dzień dobry, mam nadzieję, że tydzień zacznie Ci się samymi dobrymi rzeczami i dziękuję za słodkie sny, do takiego dobranoc mogłabym się przyzwyczaić. Tysiąc całusów na dzień dobry! - wysłałam. I rozłą-

czyłam się.

Moje dni zaczęły biec teraz innym torem. Rano się budziłam i prawie po omacku włączałam komputer. Przez jakiś czas nie zawiodłam się. Lwiątko witało mnie rano. Do pewnego dnia. Przez trzy dni nie dawało znaku życia. Zrobiło mi się przykro. Nie zdawałam sobie sprawy, że moje samopoczucie jest do tego stopnia od niego uzależnione. Czekałam przez kilka dni, bez efektu.

W końcu wysłałam wiadomość. „Myślałam, że nasza znajomość wytrwa trochę dłużej, szkoda. Jest mi przykro, ale trudno. Może spotkamy się kiedyś, gdzieś....”

Odpowiedź przyszła prawie od razu.

„Rany! Nie było mnie w pracy, a teraz mam trochę problemów! Nigdzie nie znikaj i nie żadne gdzieś, kiedyś. Właśnie, że tu i teraz! Wiesz, że Cię lubię i nie chcę tracić z Tobą kontaktu!”

- Myślałam, że już Ci się znudziłam. - odpisałam

- Jak mogłaś mi się znudzić, skoro się nawet nie znamy!

- Ojej! No było mi przykro...

- Bardzo Cię przepraszam Gwiazdeczko, więcej tak nie zrobię.

- Wiesz co? Mówisz tekstami, które się czyta w książkach i słyszy w filmach. Takich facetów jak Ty nie spotyka się na co dzień! Kim Ty jesteś?

- Najnormalniejszym facetem na świecie. Nic ciekawego, jak mnie kiedyś poznasz to się rozczarujesz.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Dlatego, że rzeczywiście nic o Tobie nie wiem, a piszesz takie rzeczy...! Jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni. Ciebie nie ma! Nie istniejesz! To niemożliwe, żeby istniał ktoś taki!

- Wiesz co, to ja mam propozycję! Mieszkamy w jednym mieście. Może byśmy się spotkali.

Ciarki mnie przeszły. Nie wiedziałam, czy chcę się z nim spotkać! Wiedziałam tylko, że ma piękną duszę, ale jak wygląda, kim jest? Intuicja podpowiadała mi, aby zaryzykować, ale rozsądek...

- No i jak zdecydujesz się, czy się boisz? - Lwiątko dobrze odczytało moje obawy.

- Skąd wiesz o czym myślę? - spytałam.

- Bo milczysz, nie trudno zgadnąć o czym myślisz.

- Dobra, jestem hazardzistką! Spotkamy się! - odpowiedziałam

- To lubię! Męska decyzja! Kiedy i gdzie?

- Jasne, trzeba być mężczyzną! HIHI! O której jutro kończysz pracę?

- Raczej zaczynam, o dwunastej w południe i kibluję do wieczora!

- Fajnie! Ja też! - ucieszyłam się  
 - To może spotkamy się rano, będziemy mieć z głowy! Zaoszczędzimy sobie trochę nerwów!

- Masz rację! Odwalimy i po kłopotcie. O dziewiątej trzydzieści w McDonalddie, pasuje Ci? - zaproponowałam

- Pasuje! A jak Cię poznam? Albo nie Ty mnie poznasz, jak Ci się nie spodobam, to nie podejdziesz. Będę miał na stoliku białą różę. To co? Może być?

- Jasne! Pierwszy raz widzę faceta, żeby dał się oceniać kobiecie, zwykle to mężczyźni chcą oceniać kobietę. Gentleman? Gdzieś Ty się uchowal? - zdziwiłam się, ale nie kryłam radości.

- W Częstochowie, Maleństwo! To jak będziesz?

- Będę!

- No to całuję gorąco! Papapapa - Lwiątko pożegnało się

- Papapapapa! - napisałam i rozłączyłam się. Serce biło mi jak oszalałe. Spotkam go!

W nocy nie mogłam spać, przewracałam się z boku na bok. Myślałam jak się ubrać, uczesać. Jak się zachować! Nie mogłam robić z siebie wampa, w końcu potem szłam do pracy. Wyobraźnia podpowiadała najróżniejsze scenariusze. Mógł być moim księciem z bajki, podrywaczem, albo zbrojnym. W końcu jednak usnęłam.

Obudziłam się... za piętnaście dziewiąta rano. Miałam tylko czterdzieści pięć minut! Trzy kwadranse, aby zrobić się na bóstwo! Katastrofa! Facet się mnie wystraszy, a nie wpadnie w ślepy zachwyty. Trudno, umówiłam się to trzeba iść.

Zamiast odpowiedniego stroju wskoczyłam w dzinsy i sweter. O makijażu mogłam tylko pomarzyć, więc nie spodziewałam się po tej znajomości niczego ekscytującego. Jakby było mało, to jeszcze lał deszcz od wczesnego rana i moje włosy zamieniły się w mokre strąki.

Jako obraz nędzy i rozpaczy weszłam w drzwi McDonalda. Nie wiedziałam kogo szukam. Ale najgorsze co mnie mogło spotkać w tym momencie to, widok znajomej twarzy. Na wprost mnie, w końcu sali przyglądały mi się brązowe oczy, twarz, co prawda ciut szczuplejsza, odrobinę dłuższe ciemne włosy i te same słodkie usta. Patrzałam na Artura! Prawie zapomniałam, że powinnam znaleźć mężczyznę z białą różą. Niechętnie odwróciłam wzrok od Artura, który w tym samym momencie schylił się i podniósł coś z podłogi. Na stoliku położył... białą różę. Nie wierzyłam w własnym oczom! W głowie miałam pustkę! To przecież niemożliwe, żebym przez ten cały czas rozmawiała z Arturem, w dodatku nic o tym nie wiedząc!

Do zaskoczenia dołączyło oburzenie. Musiał się drań świetnie bawić moim kosztem! Łzy stanęły mi w oczach i dławiły w gardle. Nawet po jego odejściu nie czułam się tak upokorzona jak w tej chwili! Wylewać swoje żale, smutki, najbardziej skrywane uczucia, obawy i lęki, komuś kto mnie potraktował jak ostatnie zero!

Podeszłam do stolika przy którym siedział.

- Cześć! Widzę, że czekasz na kogoś? - powiedziałam.

Artur trochę się zmieszał.

- Cześć, czekam... , ale to chyba nie przestępstwo? - odpowiedział pytaniem.

- Nie! Skąd! Tylko jestem ciekawa, czy gdybyś wiedział, moje drogie Lwiątko, że właśnie się doczekałeś na swoją Gwiazdeczkę, jeszcze byś tu był - nie mogłam odmówić sobie, aby uraczyć go tą gorzką pigułą do przełknięcia.

Brakło mu słów, tylko gapił się na mnie z otwartą buzią. Nie czekałam na ciąg dalszy, odwróciłam się i poszłam w stronę wyjścia.

- Marta! Marta, poczekaj! - zawołał mnie jeszcze, ale nie zatrzymałam się.

Rozgoryczona opuściłam restaurację. Chciało mi się krzyczeć płakać, tupać! Nie pozwolę zrobić z siebie znów ofiary! Nie wiedziałam, gdzie mam iść, bo do godzin pracy zostało mi jeszcze trochę czasu, wróciłam więc do domu i... włączyłam komputer. Łzy cisnęły mi się do oczu, ale połączyłam się z czatem. Pożegnałam Gwiazdeczkę, a w jej miejsce przywitałam DiabliCę.

- Cześć ludziska! - wysłałam powitanie w swoim ulubionym pokoju.

Tamara Klabisz urodziła się w 1975 r. w Częstochowie. Jest absolwentką Technikum Ekonomicznego, studiuje na kierunku poradnictwo zawodowego na Akademii im. J. Długosza, wcześniej na filologii polskiej. Interesuje się filozofią, literaturą, historią filmu i parapsychologią. Debiutowała w grudniu 2003 roku opowiadaniem opublikowanym w gazecie "Fakt". Dwa inne jej teksty można było przeczytać w internecie, w portalu *Interia.pl*



## Góra znalezionej ciszy

o nowej powieści Wojciecha Kopcińskiego

Nowa powieść częstochowskiego autora, Wojciecha Kopcińskiego "Góra znalezionej ciszy" jest właśnie przygotowywana do druku w niemieckim wydawnictwie Medu Verlag. To książka niezwykle, ze wszech miar godna polecenia najbardziej wyrafinowanemu czytelnikowi. Wpisuje się w modny i na czasie temat uzależnień, zataczających niestety coraz szersze kręgi. Jest opisem leczenia, dzień po dniu, w klinice dla uzależnionych w Niemczech, widzianego oczami jednego z pacjentów grupy, wrażliwego Polaka-artysty.

Z jednej strony jest to bardzo wnikliwy reportaż, krok po kroku odsłaniający nam nowoczesne metody leczenia stosowane na Zachodzie, przebieg dnia pacjenta, zagrożenia i pułapki związane z tematem. Autor okazuje się być świetnym obserwatorem, wchodzącym w każdy zakamarek kliniki, przed którego czujnym okiem nie umknie żadne, nawet najdrobniejsze, świadectwo służące opisowi sprawy; sam czasami prowokuje zdarzenia - wszystko jednak w imię prawdy i niezafałszowanego obrazu opisywanego świata. Nie ulega więc pozorom, zdiera maski, pod którymi kryją się niekiedy chorzy, konfrontuje mity z rzeczywistością. Jest jednym z chorych, zna ten świat od środka, obnaża więc wszystkie zachowania służące jedynie dobrej opinii i świadectwu kliniki, które zabiera ze sobą pacjent w zdrowy świat.

Książka żyje światem swych postaci. Każda z nich, począwszy od personelu a skończywszy na pacjentach, narysowana jest indywidualnym rysem, niezwykle barwnie i żywo. Są to prawdziwe charaktery, które niejednokrotnie wywołują uśmiech na twarzy czytelnika, by nie powiedzieć śmiech. Postaci opisane są z komicznym zacięciem, każda występuje pod trafnym i charakterystycznym pseudonimem: Kokaheroin, Rzeźbiarz Seksu, Trochę Piwa, Owczarz, Zawsze Uśmiechnięta, Ryba, Trener Międzynarodowy i inni. Wielką wartością tej książki w dobie globalizacji dotyczącej i służbę zdrowia jest fakt, że autor opisuje każdego pacjenta indywidualnie, dotyka jego życia, stara się dociec przyczyn, które doprowadziły go do leczenia, wyobraża sobie jego życie przed i po. Po prostu nie prześlizguje się schematycznie i papierowo nad jego losami. Zaznacza złożoność przyczyn okaleczeń i niesionych nadziei. Każdy pacjent jest indywidualnością,

każdy jest niepowtarzalnym bytem – i ta prawda wybija się tu jak sztandar, który powinien przyświecać wszystkim zawodowo zajmującym się tematem uzależnień. Każda dusza chora jest inaczej, dlatego największe efekty pracy widoczne są u tego personelu, który niesie w sobie nie tylko cierpliwość i potrzebne ciepło, ale i miłość bliźniego. Z książki bije przede wszystkim fascynacja człowiekiem, jego prawem do godności nawet w chorobie, a może właśnie przede wszystkim w chorobie. Bez moralizowania i wielkich słów uczy ona, jak wzajemnie siebie odkrywać, rozumieć i szanować. To wielkie i humanitarne przesłanie jest jej wartością, oby niosło się i docierało jak najszerzej.

Jest w tej książce niezwykle ciepło i tolerancja do opisywanego świata. Autor przyjmuje go takim, jakim jest, bez ingerencji i chęci zmian. Pacjenci w miarę leczenia zaczynają stanowić małą wspólnotę, wspierającą się nawzajem. Nie brakuje tu obserwacji: świat chorych – świat zdrowych, z całą umownością tego założenia, reakcji, w których świat zdrowych zachowuje sztuczny dystans i obawy, płynące właśnie z małej znajomości tematu, stąd też powieść Wojciecha Kopcińskiego wpisuje się w wypełnienie tej luki przez literaturę.

Jest również podjęty temat Polacy – Ślązacy – Niemcy, wzajemne uprzedzenia historyczne i mity, które łączy jednak wspólny mianownik: człowiek w potrzebie. Dużo jest podpatrzonych cech narodowych niemieckich, z całą jaskrawością i bez kamuflażu, ale autor obnaża zarazem nasze polskie słabości. Styk Polak-Niemiec zawsze będzie trudny, ale w miarę wzajemnego poznania się przestaje iskrzyć.

Autorowi udało się ponad światem realnym, a może bardziej po nim jak po kładce, dotrzeć również i do świata metafizycznego, gdzie mieszkają strach, lęk, choroba, przeszłość, która ciąży choremu jak balast i wyrzut sumienia, z którym nie umie się uporać, a jednocześnie nadzieja, instynkt życia, wiara w możliwy lepszy zdrowy świat. Te wizje determinują go w walce, w konsekwencji działania, dają mu wyraźny cel i siłę. Nie każdemu się to udaje. Anioł śmierci zabiera tych, dla których jest już za późno, są za słabi, nie chcą, nie potrafią walczyć, na tę drugą stronę, z której nie ma odwrotu. Wprowadzona tu przez autora Ruda Dziewczyna to postać poetycka, łączy owe dwa światy poezją, wizjami innego ja i innego świata – jak kłamrą. Szukają jej artyści i ci, którym proza życia jest za mało. Mało jest w naszej literaturze takiego balansowania na granicy światów, oddanego ładną prozą poetycką.

Autor ma bardzo lekkie pióro, przechodzi łatwo z klimatu w klimat, od komizmu do tragizmu, świetnie

buduje nastrój, jego postaci są z krwi i kości, niosą prawdę psychologiczną i życiową, potrafią rozbawić i przerazić zarazem. Rozsadzają książkę swymi charakterami i losami i żyją w nas długo po skończeniu lektury.

Książka Wojciecha Kopcińskiego niesie wiele różnych barw i światów, co sprawia, że jest zarówno miejscami bardzo śmieszna i miejscami bardzo smutna, miejscami osadzona mocno w realiach i miejscami bujająca we mgle marzeń, matczyzna dla chorego, a jednocześnie obnażająca jego słabe i najciemniejsze strony. Niesie niemniej wiarę w każdego chorego, w każdego z nas.

Na czym polega jednak jej fenomen literacki uplasowania się na wyższej półce z napisem Literatura? Ośmielam się twierdzić, że na tym właśnie, że jej prawdziwe smaki, znaczenia i podteksty odkrywa czytelnik sam, unoszą się one gdzieś ponad opisywanym światem, poza słowami, między wierszami i docierają do czytelnika, otwierając na oścież jego wyobraźnię i serce.

*Anna Witek*

## Okulistyka i okuliści w Częstochowie

To siódmy już tom z cyklu o historii, terażniejszości i dorobku częstochowskiego leczenia. Autor dotychczasowych sześciu książek, dr Mieczysław Wyględowski, zaprosił tym razem do współautorstwa swoją córkę – Dorotę Wyględowską - Promieńską – adiunkta w Klinice Okulistyki Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach.

Sam Wyględowski jest lekarzem – chirurgiem o złotych rękach i sercu z podobnego kruszcu, łączącym bogatą wiedzę medyczną z rozległym doświadczeniem oraz praktyką w swojej specjalności. Były wieloletni ordynator oddziału i dyrektor Szpitala na Zawodziu. Przeznaczony mu na tym stanowisku czas wykorzystał do gruntownej renowacji i prac remontowo-inwestycyjnych zabytkowego obiektu szpitalnego, przekształcając go w jednostkę leczniczą godną w pełni czasów z końca XX stulecia. Senator ziemi częstochowskiej w dwóch kolejnych kadencjach i przewodniczący Senackiej Komisji Zdrowia. Miłośnik sztuki, znany ze zbiorów malarstwa, starych zegarów i antycznych mebli.

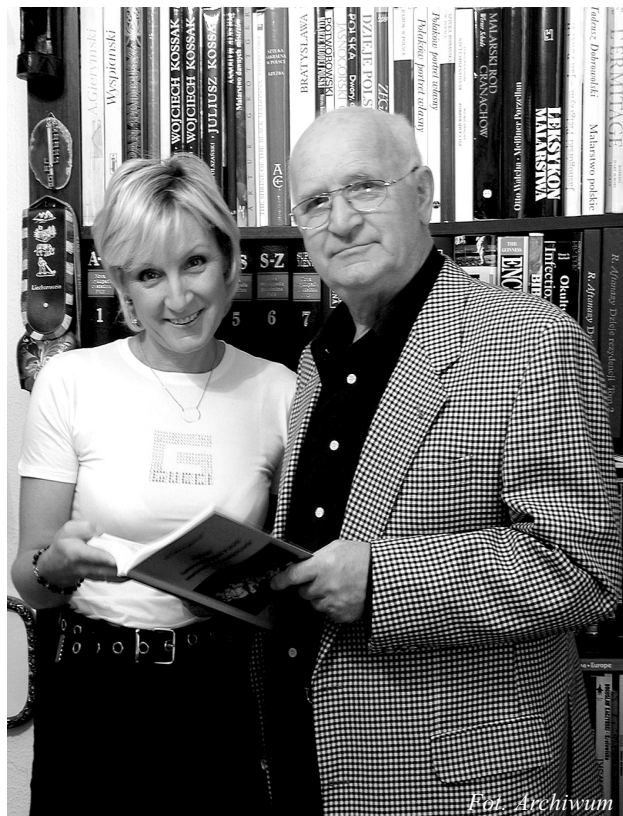
Wytrwały słuchacz muzyki klasycznej, spotykany często na salach koncertowych, by nie pominąć umiłowanych przez niego gór i śnieżnych tras narciarskich. Ujawnione przed laty zacięcie pisarskie doktora jest cennym przyczynkiem do utrwalania bogatej historii leczenia częstochowskiego i ludzi z miejscowego środowiska medycznego.

Nowa książka opatrzona została przedmową prof. Ariadny Gierek-Łapińskiej, w której stwierdza ona, że autorzy przedstawili w sposób unikalny i interesujący historię okulistyki światowej i polskiej.

Opracowanie, adresowane w podstawowej mierze do lekarzy tej specjalności medycznej, zainteresować może i powinno także powszechnego czytelnika, rozmiłowanego w wiedzy poznawczej. Już w pierwszym rozdziale autorzy sięgają do prehistorii okulistyki z XVIII w. p.n.e., przytaczając część okulistyczną z zapisów na tablicach Hammurabiego i z papyrusu Ebersa, by – nie pomijając medycyny staroegipskiej i rzymskiej – dojść do współczesności.

W kolejnych rozdziałach zobrazowany został zarys historii okulistyki w Polsce i w Częstochowie – od jej początku, aż do lat obecnych.

Oddzielną część stanowią dane biograficzne okulistów częstochowskich. Do niecodziennych ciekawostek trzeba zaliczyć, iż z tej okazji ujawnia się pozamedyczne,



Fot. Archiwum

a związane ze sztuką zainteresowania i upodobania niektórych z tych osób, np. Krzysztofa Muskalskiego (fotografika), Heleny Oczkowskiej - Mysiek (poezja) czy Janiny Żółkowskiej - Pacewicz (malarstwo).

Książkę zamyka imienny indeks częstochowskich okulistów oraz alfabetyczny skorowidz nazwisk występujących w treści.

Całość dokonań pisarskich dra Mieczysława Wyględowskiego i współautorów zasługuje na pełne uznanie. Podejrzewam, że daremnie ze świecą szukać można podobnych przykładów tak wiernego i bogatego udokumentowania dziejów lecznictwa z innych regionach kraju, jak to ma miejsce w gminno-powiatowej Częstochowie.

Na siódmym tomie nie skończy się ta medyczna saga; w przygotowaniu do druku znajduje się już kolejna książka.

**Andrzej Grądzian**

*Mieczysław Wyględowski, Dorota Wyględowska-Promieńska: Okulistyka i okoliści w Częstochowie. Częstochowa, Okręgowa Izba lekarska 2004.*

## Nietoperze jurajskich jaskiń

W listopadzie i grudniu 2004 r. w Domu Kultury Ruczaj w Krakowie można było oglądać pojedyncze i zbiorowe portrety nietoperzy jurajskich jaskiń, wykonane przez znanego częstochowskiego fotografa **Krzysztofa Skroka** oraz Krzysztofa Garę i Czesława Polcyna. Po świecie nietoperzy wernisażowych gości oprowadzał chiropterolog prof. Bronisław W. Wołoszyn, świecie tyle tajemniczym, co bliskim, bowiem prawie każdy posiada historię prywatnego spotkania z nietoperzem.

W otoczeniu najmłodszej z jurajskich jaskiń – „Szachownicy” – znajdują się kipiele wodne (Polcyn). Te bijące źródła, tak jak i jaskinia, będące ciągle w fazie kształtowania się, zadziwiają niezwykłością turkusowych, seledynowych, żółtych i brązowych barw. Ich struktura jest miękka i gęsta, wciągająca. O tym, że mamy przed sobą wodę, świadczą jedynie delikatne cienie gałęzi. Mają ten sam kosmiczny klimat, co gorące źródła w Parku Yellowstone.

Wnętrza jaskiń są idealnym miejscem dla hibernujących nietoperzy. Dla nas niezwykle plastycznym. Jasne ściany wapiennych grot rozświetlone intymnym punktowym światłem, oblodzone zwisającymi i wyrastającymi z podłoża sopłami: długie i ostre, obłe i zamykające w swej przezroczystej strukturze białosc śniegu. Futerka zimowych nietoperzy (Gara, Polcyn) niczym klejnoty skrzą się od kropel wody, przez co wszystkie upodabniają się do siebie, tworząc jednolity zbiór śpiących ssaków. Szaro-kropelkowe futro staje się jeszcze bardziej zwarte, dzięki zacierającym się granicom między poszczególnymi osobnikami w kotłowaniu nóg, palców, błon, uszu i pyszczków przyczepionych do skalnych sufitów. Ten stan, niedostępny ludzkiemu poznaniu, między snem a śmiercią, budzi respekt i fascynację.

Nietoperze Skroka są zindywidualizowane. Każdy osobnik, przyszpilony okiem obiektywu, jako jedyny przedstawiciel gatunku, dumnie prezentuje niepowtarzalną kombinację genetyczną. Nocek Bechsteina, wsparty na przedramieniu, straszy pełnym garniturem ostrych, gotowych do ataku zębów. U podkowca małego zadziwia narośl skórna przypominająca motylkowaty kwiat z grzebieniem, podkową, lancetem i siodłem. Dzięki ogromnemu zbliżeniu możemy zanurzyć się nieomalże w jego mięciutkim, zawirowanym wnętrzu. Borowiec wielki rozciągnął na gałęzi swe płowo-brunatne futerko. Gdyby nie czarne kropelki oczu, z powodzeniem mógłby udawać grzyba. Nocki i gacki pokazują koziółki – nietoperzowe anteny – odbierające sygnały zewnętrznego świata.

Zniwelowany dystans i wielokrotne powiększenia jawnym czynią życie tajemne, nieprzyjemne i budzące lęk zmieniają w przyjazne i miłe. Dzięki tym fotografiom nietoperze stają się częścią zapoznanej i oswojonej rzeczywistości, już nie tylko dzięki indywidualnym opowieściom, ale i obrazom.

**Beata Anna Symolon**



Fot. Krzysztof Skrok



## Masala

Swoją aktywność muzyczna Antoni "Ziut" Gralak zaznaczył ostatnio na interesującej płycie "Masala" – odjazdowym projekcie podróżnika Maxa Cegielskiego. Płyta łączy brzmienia etniczne z różnych stron świata (Orient, Mongolia, Syberia, Jamajka, Bułgaria, Afryka), podlane sosem elektronicznego transu, a niewątpliwym natchnieniem twórców - na przekór oficjalnej polskiej racji stanu - jest Koran. Gralak, reprezentant stowarzyszenia Jasna Chmura, gra w kilku utworach na trąbce, wnosząc do tej wielokulturowej mieszanki element jazzu. W nagraniu płyty udział wzięli m.in. "Kapela ze Wsi Warszawa" i Bart Pałyga (gardłowe śpiewy Indian syberyjskich). Bardzo zakrecona muzyka bardzo alternatywnych ludzi.



## Babie Lato

Przy ul. Kilińskiego otwarto ubiegłej jesieni pierwszą w naszym mieście kawiarnię tylko dla kobiet "Babie lato" (w miejscu "Puerto Rico"). Lokal otworzyły trzy panie, z myślą o stworzeniu miejsca, gdzie płeć piękna mogłaby się spotykać na pogawędki i ploteczki, bez narażania się na niemoralne propozycje i chamskie zaczepki samców, których i u nas nie brakuje. Panie mogą tam też narozrabiać i nie zostaną brutalnie wyrzucone przez rosyłych ochroniarzy. Czy to już wojujący feminizm czy tylko samoobrona kobiet?

## Porno butter-flay

W pubie "Utopia" widzieliśmy premierowe przedstawienie "Butter-flay", zagrane przez "Teatr from Poland". Wojtek Kowalski - największy aktor w Częstochowie - wystąpił tym razem z kobietą — Anną Marią Kućko z teatru "Kreatury" (Gorzów Wielkopolski), co dodało całości nieco pikanterii.

Sztuka interesująca, dająca się interpretować na wiele sposobów. Początek, to jak zwykle gra z formułą teatru, granie tej samej sceny na wiele sposobów, wrażenie nieustającej próby. Czyli to, do czego widzowie spółki autorskiej Kowalski-Filipski są dobrze przyzwyczajeni. Gwiazdor estrady udziela lekcji swojej wielbicielce. Wszystko kończy się w łóżku, gdzie przez połowę sztuki toczą się dialogi w pozycjach znanych z "Kamasutry". Śmiały negliż i ostra erotyka podnieciła publiczność do tego stopnia, że co poniektórzy zaczęli wstawać i zasłaniać widok. Scena była niestety źle ustawiona i mocno ograniczała widoczność - dla niektórych spektakl stał się słuchowiskiem. W łóżku wielbicielka przystępuje do kontraktatu, a bohater po zdemontowaniu maski gwiazdy, popada w kompleksy z powodu niespełnienia, niedojrzałości, ukrytych dotąd w podświadomości fobii itp. W tym momencie generacja ludzi w średnim wieku (bo chyba do nich jest adresowana sztuka) mogła przejrzeć się jakby w lustrze, zaniepokoić, oczyścić duchowo. Kulminacyjny striptease i przebranie się w dziwaczne stroje nurków-kosmitów-plemników zapowiada jakąś bliżej nieokreśloną katastrofę, ucieczkę przed rzeczywistością w krainę marzeń i utopii, izolację, która być może uchroni bohaterów od samozniszczenia. Końcówkę można sobie tłumaczyć na wiele sposobów, ale takie jest założenie "Butter-flay", a reżyser nie chciał ujawnić swoich intencji. Sztuka nieco witkacowska, na granicy rzeczywistości, balansująca pomiędzy nirwaną a twardą prozą życia, z oparami buddyzmu zen w tle. Oprawa plastyczna Joanny Chwastek także przypomina halucynogenne dzieła Witkiewicza. Całość może się podobać, mniej tu pastiszy i autoironii Wojciecha K., a więcej prowokacji, sadomasochizmu intelektualnego, damsko-męskiego mięsa. Można wytknąć nieco fałszującą grę głosem aktorki z Gorzowa i małą elastyczność w zmienianiu ról Wojtka (cały czas gra tak samo), ale i tak odniosłem dobre wrażenie. Interesującą muzykę przygotował Bronisław Duży - jeden z najlepszych polskich puzonistów.



Trzy tygodnie później w Częstochowie gościł Jerzy Stuhr, duchowy patron poprzedniej sztuki "Teatru from Poland" – "Saksofonista". Słynny aktor i reżyser recytował wiersze Rilkego, zagrał w swoim sławnym "Kontrabasiście" oraz spotkał się widzami filmu "Pogoda na jutro".

## Bulion



Po prawie dwóch latach przerwy ukazał się drugi numer Magazynu Literackiego "Bulion", redagowany przez Szymona i Wioletę Grzegorzewskich. Różnie planowano jego periodyzację, lecz ostatecznie częstotliwość powstawania wymusił rynek. Magazyn wychodzi, jeśli autorom uda się uzbierać odpowiednią kasę na druk. Może to i lepiej, gdyż redaktorzy mają więcej czasu na przegląd materiałów, na dopracowanie szaty graficznej. W drugim numerze widać wyraźny postęp w stosunku do poprzedniej edycji. Poprawiła się jakość druku, jest lepszy papier, ciekawsze opracowanie plastyczne. Szymon Grzegorzewski - redaktor naczelny - sprecyzował ostatecznie linię programową pisma: "(...) Na naszych łamach mogą spotykać się wszyscy, niezależnie od wieku i osiągnięć (...). Chcemy ukierunkować czytelnika na wartości, które przesłania komercja, pobudzić do twórczego myślenia i stworzyć dialog (...). Brak szablonów jest zamierzony (...) Zależy nam na polifonii poglądów (...) Precz z szufladkowaniem, a niech żyje "wychodzenie z szuflady!" (...)". Wszystko oczywiście podlane smakową ideologią kostki rosółowej. Redaktor nawiązuje też do nieistniejącej sceny "Błazen", na której mógł wystąpić każdy, kto miał coś do powiedzenia. Tego przesłania brakowało w premierowym numerze.

A co w środku? Dialog kultur, dialog generacji, integracja środowiskowa na całego! Jest więcej reportaży krajoznawczo-kulturalnych (Dania, Londyn, Montpellier), opowiadania Kalinina i Ludwickiego, trochę wspominków po śp. Marcinie Rumińskim (wiersze jego ojca Krzysztofa), gorzkie liryki W. Gaińskiego (ale nie o kotach), ciekawy artykuł

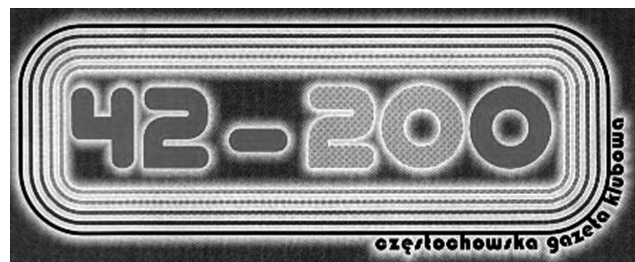
czołowego literaturoznawcy regionalnego A. Frani o związkach poezji M. Szkopa (przedstawiciela roczników 80.) z hip – hopem (praca bardzo nowatorska), dalej o Szkopie pisze też A. Bratek – wyklada credo artysty i tłumaczy motywy jego postępowania, omawia manifesty. Temat skostnienia instytucji kulturalnych wraca tu po raz kolejny, ale MS jest na tyle inteligentny, iż rozumie, że to miasto jest skazane na pewien model kultury (sakralno-wysoki), i żeby tu funkcjonować, musi konsekwentnie budować dla siebie niszę. Raczej nie robi z Częstochowy miasta wiecznego karnawału, a zawsze może wyjechać do Rio...

Archiwum literackie to trochę "perły z lamusa", odkurzenie przebojów. Czasami jednak takie przypomnienie się przydaje, bo w pogoni za nowością często zapominamy o tym, co było wczoraj. Mnie osobiście najbardziej do gustu przypadł tekst K.M.E. Baczewskiego o nałogu niepalenia, gdyż sam palę i wkurza mnie agresywna propaganda antynikotynowa.

Kostka bulionowa tym razem smaczniejsza i większa o 20 stron. Następny numer (jak dobrze liczę) prawdopodobnie zobaczymy jesienią 2006, chyba że pojawi się jakiś sponsor z kosmosu, który wspomógłby pismo gotówką. Z podobnych powodów magazyn komiksowy "Czkafka" zaczął się ukazywać tylko w wersji elektronicznej.

*S. Burszewski*

## 42 – 200



Częstochowska gazeta klubowa to nowe zjawisko w lokalnej prasie, sponsorowane przez właścicieli klubów, w klubach rozprowadzana za darmo jako informator dla klientów, o tym co się dzieje, albo może się wydarzyć. 30-stronnicowy zeszyt zawiera reportaże z koncertów, wywiady z artystami, program imprez (także ogólnomiejskich), krótki komiks

i felieton Małego Pieniacza, który wieści, że czas emigracji z Czewki (bo tak się tutaj nazywa nasze miasto) zakończył się i teraz już wszyscy jesteśmy skazani na dozgonny pobyt w tym padole, czego nie należy traktować jako przekleństwa, lecz jako bodziec do działań na rzecz uświetnienia własnej egzystencji. “Weźcie sprawy w swoje ręce” – jakby powiedział prezydent Lech Wałęsa. Idea cenna i godna naśladowania.

Postronnego czytelnika może drażnić klubowy język, obracanie się tematycznie w obrębie kilkunastu knajpek, lecz jest to chyba zamierzona kontra, skierowana przeciw oficjalnej miejskiej kulturze urzędniczej ignorującej clubbing i mdławej prasie lokalnej, zapchanej w większości reklamami. Druga sprawa: kluby są już pewną siłą kulturalną i chcą mieć coś do powiedzenia, chcą mieć gazetę, która mówi o nich i tylko o nich. Jest to także w zamierzeniu rozrywka dla klubowiczów (każdy może się przyłożyć do współredagowania). Jeżeli ponad połowa imprez odbywa się przy piwie a nie na salonach, to też o czymś świadczy.

Podejrzewamy, że gazeta będzie się ukazywać dopóki starczy cierpliwości właścicielom klubów, a na razie podziwiamy upór Janusza Pawlikowskiego i Krzysztofa Pikora w tworzeniu dziennikarstwa alternatywnego w Czewie. Edytorsko “42-200” jeszcze do dopracowania, nieco bowiem razi nadmierne nagromadzenie na małym formacie dużej ilości przypadkowych zdjęć. *(sb)*

## Ile czytamy

Ponad 1 milion 100 tysięcy książek, czasopism oraz tzw. zbiorów specjalnych (w tym audiowizualnych) wypożyczyli w minionym roku nasi czytelnicy – informuje Biblioteka Publiczna im. dra. W. Biegańskiego w Częstochowie.

W czytelnich udostępniono ponadto blisko pół miliona (dokładnie 451.190) kolejnych pozycji.

Ze zbiorów Biblioteki (siedziba główna w Alei NMP 22 oraz 25 placówek filialnych na terenie miasta) korzysta stale 62.814 czytelników. Zbiory wzbogaciły się w minionym roku o 10.474 vol. i liczą dziś blisko 800 tys. jednostek.

Biblioteka Publiczna jest także ważnym centrum informacji – udzielono ich ponad 113 tysięcy, a otwarta dla wszystkich pracownia internetowa cieszy się ogromnym powodzeniem.

## Nagrodzeni przez Śląsk

Trzej luminarze częstochowskiej kultury dostąpili zaszczytu nagrodzenia przez Woj. Śląskie.

Doroczną Nagrodę Artystyczną Marszałka Województwa otrzymał fotografik **Wojciech Prażmowski**.

Odznakami Honorowymi Za Zasługi dla Woj. Śląskiego wyróżniono literata **Andrzeja Kalinina** oraz **Adama Pastucha**, dyrektora Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca “Śląsk” w Koszęcinie.

Serdecznie gratulujemy.

## Nasze miejsce w Europie

Nie ustajemy w poszukiwaniach dowodów na to, że od dawna znajdujemy się w Europie i nasze niedawne “wejście” do UE było jedynie zaspokojeniem brukselskich biurokratów, pragnących mieć porządek w papierach.

Oto kolejny dowód: **Sekwana w środku Częstochowy**. Rzekę, nadbrzeżne bulwary i charakterystyczny przy nich obiekt znają nie tylko mieszkańcy miasta. Dobitnie to świadczy o naszych bliskich związkach z europejską cywilizacją.



Fot. Leszek Pilichowski

## D U D A   G R A C Z

Jerzy Dzierżysław, ur. 20.3.1941 r. w Częstochowie - zm. 5.11.2004 r. w Łagowie.  
Absolwent Liceum Plastycznego w Częstochowie i Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.  
Prof. Uniwersytetu Śląskiego i Europejskiej Akademii Sztuk Pięknych.  
Malarz, rysownik, scenograf.  
Kilkaset wystaw indywidualnych na wszystkich kontynentach.  
Kilka tysięcy obrazów.  
Wizjoner.  
Artysta.



